

Nadodrże

ZIELONA GÓRA

ROK XXXI NR 20 [651]

4 - 17 X 1987 R.

CENA 20 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



Okrągłe rocznice, jubileusze, na szczęście dziś coraz skromniej obchodzone, niczego nie zmieniają w naszym życiu. Są jedynie jeszcze jednym dowodem na nieublagany upływ czasu. Sprzyjają co najwyżej wspomnieniom i refleksjom, na które w kołowrocie codzienności nie zawsze znajdujemy miejsce i ochotę.

NAKAZ CZASU

Janusz Koniusz

Ci, którzy dokładnie trzydzieści lat temu pod okiem i ręką Tadeusza Jasińskiego napisali, zredagowali i wydali pierwszy, nie oznaczony jeszcze cyfrą, numer „Nadodrża” — a miałem zaszczyt być wśród nich — nie sądzili, że tworzą coś, co przetrwa tak długo. Niejednokrotnie wyrażano opinię, że najważniejszą zaletą „Nadodrży” jest to, że ono ciągle istnieje, kiedy po wielu pismach późniejszej i w większych miastach powstałych, pozostała już tylko pamięć. Może to właśnie nieliczny przywilej prowincji?

„Nadodrże”, przypomnijmy, bo jest to niezwykle istotne, było pierwotnym dzieckiem Lubuskiego Towarzystwa Kultury, które powstało w początkach lipca 57 roku, a „Nadodrże” już w trzy miesiące później. Czasem słyszy się, że LTK utworzono jako przede wszystkim wydawcę pisma, ale to bardzo uproszczone twierdzenie. Pomysł powołania w Zielonej Górze, wtedy faktycznie często mylonej z Jelenią Górą, czasopisma o charakterze kulturalnym, to też tu warto przypomnieć, pojawił się znacznie wcześniej, dokładnie w połowie lat pięćdziesiątych, ale w ówczesnych warunkach nie mógł być zrealizowany. Sytuacja zmieniła się dopiero po dojściu do władzy Władysława Gomułki. Wyjałowiona kulturalnie prowincja zaczęła upominać się o swoje prawa, chciała mieć swój głos, swoją trybunę.

Cele „Nadodrży” były tożsame z celami LTK. Dyskusje w gronie działaczy ruchu regionalnego przenoszono na łamy pisma, problemy podejmowane w „Nadodrży” stawały się programem działania LTK. Nie zawsze o ruchu regionalnym pisano entuzjastycznie. Od samego początku dostrzegano w nim również słabsze miejsca. Na do robek pisma składają się wielokrotnie publikowane na jego łamach polemiki

i dyskusje o istocie współczesnego regionalizmu, kształcie i powinnościach ruchu regionalnego, o podjęciu problematyki najbliższego regionu przez szkolnictwo, o nobilitowaniu tego co najważniejsze w kulturze środkowego Nadodrza i wprowadzeniu do ogólnopolskiego obiegu wartości tworzonych tutaj literatury i sztuki. Trudno posadzać uczestników tych sporów o prowincjonalny minimalizm. Zresztą życie przy nadmianym, nie tylko zresztą w tym fragmencie.

Początki LTK i początki „Nadodrży”, to także warto przypomnieć, bo wynikają z tego bardzo współczesne konsekwencje, to były lata, kiedy region lubuski zwrócił na siebie uwagę kulturalnej Polski. Tamte inicjatywy i tamtejsze dokonania posiadają już dokładne zapisy: publicystyczne, reporterskie, socjologiczne. Jeżeli można do nich coś dodać, to to, że ówczesni animatorzy życia społecznego pragnęli ten region, o takiej przeszłości, o takim krajobrazie awansować także w kulturze. Jeżeli wypadło im tutaj żyć, to chcieli żyć kulturalnie, pełniej. Czy dzisiaj wstępujący w świadome życie też mają te ambicje?

W tym regionie przede wszystkim czynnik społeczny zdecydował o rozwoju kultury. „Nadodrże” było jego rezydentem. Dziennikarze, którzy — jak głosiła ówczesna anegdota — powracając z Paryża do Warszawy zatrzymywali się w Zielonej Górze, żeby dowiedzieć się, co nowego, określili ten ferment lubuskim eksperymentem kulturalnym, modelem kultury wartym upowszechnienia. Jak wiadomo nie w życiu, także społecznym, dwa razy się nie zdarza. Ta karta została już zamknięta, ale także gęsto i też przez dziennikarzy „Nadodrży” zapisana, i skłania do refleksji.

Nie wspominam o tym jedynie z kronikarskich powinności. Sądzę, że wiele z ówczesnych dyskusji i sporów nie straciło dziś na aktualności. A przeciwnie — znów stało się jakby jeszcze bardziej aktualne, gdyż aktywność kulturalna województwa, nieporównywalnie do tamtych lat zasobniejszego w instytucje i ludzi, znacznie opadła. Na kilku obszarach kultury co najwyżej bez niedyszyjszego wigoru powtarzamy ukucrowane wzorce. I to za wysoką, tą dosłowną, cenę. Wielkie, między innymi imprezy, które tu organizujemy wydają się być celami samymi w sobie, a nie drogami do celu. Nie umiemy ich przedłużać, wykorzystywać jako czynników inspirujących. Przez kilka dni wielkie święto, a później całe miesiące mizerii kulturalnej.

Po trzydziestu latach LTK znów usiłuje znaleźć swoje miejsce w kulturze regionu zdominowanej, jak wszędzie, przez masowe środki przekazu, tworzonej i upowszechnianej przez profesjonalistów, co jest oczywiście procesem nieodwracalnym. Ale profesjonalizacja kultury bez równoczesnej społecznej aktywności i społecznej akceptacji jest zjawiskiem negatywnym. I nad nim ruch regionalny nie może przechodzić obojętnie.

Z różnych ankiet, sondaży, które przeprowadzamy, niestety, niezbyt regularnie, z listów, które napływają do redakcji, wynika, że czytelnicy „Nadodrży” szukają przede wszystkim problematyki regionalnej, chcą jak najwięcej wiedzieć o najbliższej okolicy. Także ci, którzy mieszkają poza regionem lubuskim, biorąc o rękę nasze piśmo chcą się dowiedzieć, co się tutaj teraz dzieje. Są to najczęściej byli mieszkańcy Ziemi Lubuskiej lub ci, którzy zetknęli się z nią na urlopie, delegacji, przejeździe. „Nadodrże” było, i ciągle jeszcze jest, jeśli nie wielkim ośrodkiem do okienkiem regionu na Polskę. Setki czytelników w różnych miejscowościach kraju czytają nas, poprzez piśmo oglądają nasz region, jako że ciągle jeszcze przepływ informacji o wydarzeniach nieinicydentalnych pozostawia wiele do życzenia. W kraju, gdzie co kilka lat zmieniają się liderzy życia politycznego w sytuacjach społecznie konfliktowych, gdzie hierarchie wartości ciągle trzeba budować od nowa — ludzie pragną mieć porządek w zasięgu ręki. W „Polityce” chcą czytać o polityce, w „Sporcie” o sporcie, a w „Nadodrży” po prostu o Nadodrzu. Z tych opinii i obserwacji wzięliśmy wnioski płynące nie tylko dla nas, zespołu redakcyjnego, ale, sądzę, również dla ruchu regionalnego, dla zachowania jego istoty w zmieniających się warunkach.

Ciąg dalszy na str. 4

Dla kogo ten korowód?

Halina Ańska

Korowód winobraniowy w Zielonej Górze obserwuję od 18 lat najczęściej z okna mojego mieszkania. Dwa razy patrzyłam z trzęsą, jako współsprawczyni tego zdarzenia. Dwa, może trzy razy oglądałam korowód z trybuny winobraniowej i wtedy potwierdziła mi się zasłyszana gdzieś prawda, że „punkt widzenia zależy od punktu siedzenia”.

To, co we wlokącym się ulicą Westerplatte pochodzie wydaje się bez sensu, przed trybuną sensu nabiera. Dlaczego? Bo cała ta zabawa robiona jest pod trybunę. Tylko przed trybuną coś się naprawdę dzieje, tylko tam odbywa się przedstawienie i brzmi do niego komentarz. Liczą się więc tylko widownie zasiadające za stołem winobraniowym. Ci, którzy stoją na chodnikach wzdłuż trasy, nie liczą się wcale. Dla nich pozostaje rozmięta i nie zrozumiała orszak oraz belkot głośnika. Dlatego widok z okna skłania do oceny krytycznej i surowej...

Zaczęło się wszystko przed laty, gdy po skończonym zbiorze plonów, właściciele i pracownicy winnic wychodzili na ulicę, żeby świętować. Tak twierdził jeden historyk, zaś drudzy, iż był to obyczaj związany nie z wykonaniem, lecz z rozpoczęciem pracy. Tak czy owak, korowód winiarzy zrodził się z pracy i był jej afirmacją. Planatorzy winogron i wytwórcy wina ubrani w skórzane, robocze fartuchy, nieśli atrybuty swego rzemiosła: nożyce i kosze, ciągnęli tłoki, beczki i gąsior. Dołączali do nich piekarze, masażerzy, ogrodnicy, cukiernicy i inni, demonstrując dzieła swych rąk. Cały dzień miasto jadło, piło i weseliło się.

Z biegiem lat, zniknęły z Zielonej Góry winnice, ale tradycja została. Pierwsze po wyzwoleniu zielonogórskie korowody, o czym wspominają najstarsi mieszkańcy miasta, także wiązały się z pracą. Prezentowały się w korowodzie rzemiosło, handel oraz różne firmy i przedsiębiorstwa, z wytwórniami wina na czele. Stawał się też korowód lekcją historii. Szli w nim królowie polscy, szło rycerstwo spod Grunwaldu, jechali ułani na koniach. Na początku lat 70-tych do korowodu włączył się komitet „Święta Prasy”

i pojawiły się wtedy parady dętych orkiestr górniczych i wojskowych, zespoły góralskie, krakowski Teatr Regionalny, kapela podwórkowa z całej Polski. Były też konkursy dla szkół na najlepszą scenkę o lubuskiej prasie.

Przed paru laty, gdy z okazji Międzynarodowego Festiwalu Zespołów Pieśni i Tańca przebywali w Zielonej Górze etnografowie i muzykolodzy z nieodżałowanym przyjacielem naszego miasta prof. Józefem Bursztą, uczestniczyłam w nadzwyczaj ciekawej debacie na temat święta winobrania i korowodu winobraniowego, ich genezy i rozwoju. Czy potrzebna jest nam ta tradycja, czy nie? Jak nieświeżość kulturowe? Czy oddziałuje na wyobraźnię? Czy może być czynnikiem wychowania patriotycznego? Na święto winobrania pieczę się w domach placki, jak na Wielkanoc, przyjeżdżają goście. A więc to, najzupełniej świeckie święto, weszło do kalendarza. Skoro tak, to w jaki sposób je organizować, by dawało ludziom rozrywkę? Jak robić ten korowód, by w sumie składał się z elementów kultury plebejskiej, korespondował z historią i dniem dzisiejszym i nie był two rem sztucznym? Jak odciąć od niego pompę i uczynić uliczną zabawą?

Wszystko, co na ten temat powiedzieli goście, zostało skrupulatnie zanotowane (n.b. przeze mnie) i powierzone osobom, kierującym wówczas życiem kulturalnym Zielonej Góry. I na tym koniec. Ani jedna uwaga, ani jedna ocena, żadna z myśli i żaden z podpowiedzianych pomysłów, nie — nie ujrzało światła dziennego. Potem już nigdy nie rozmawiano o korowodzie w taki sposób i w takim gronie. Impreza ta co roku oceniana jest od strony organizacyjnej, finansowej i widowiskowej, z pominięciem głębszych wartości.

Tymczasem widowisko to z roku na rok bardziej przypomina starego dzia dka, który jedną nogą ma zdrową (gdy w korowodzie idą międzynarodowe zespoły, a dzieje się to co dwa lata), dru

Ciąg dalszy na str. 4

Opinie i refleksje

SĄSIEDZI - PRZYJACIELE

My tu na środkowym „Nadodrze” ze szczególną atencją piszemy zawsze o naszym sąsiedztwie zza Odry i Nysy Łużyckiej — Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Dzieje się tak dlatego, że nad granicą, nazwaną już przed laty granicą pokoju i przyjaźni, od tak dawna żyjemy i przekonaaliśmy się, że powstało tam państwo, które umacnia przyjaźń z Polską uważa za swój pierwszoplanowy obowiązek. Podjęło to niełatwe zadanie, w okresie bezpośrednio powojennym, siły lewicy niemieckiej, w nowym duchu przyjaźni realistów powojennych jako oczywistego wyniku przegranej przez ludobójczą III Rzeszę wojny. I uznania tej granicy nie tylko z nakazu wielkich mocarstw ujętego w uchwałach poczemskich, ale i pogodzenia się z nią wewnętrznie, a z czasem uznania jej naprawdę jako granicy, która nie dzieli a łączy oba nasze narody.

Ten pierwszoplanowy dla NRD charakter stosunków z Polską znalazł swój wyraz m.in. w tym, że bezpośrednio po powrocie ze swej podróży do RFN, gdzie był podejmowany z najwyższymi honorami, przywódca Niemieckiej Republiki Demokratycznej Erich Honecker jako pierwszego zagranicznego gościa stanu zaprosił do Berlina właśnie gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Poinformował go tam szczegółowo o wynikach swej wizyty w RFN, którą agencja DPA, relacjonując poglądy wielu Europejczyków określiła, iż wejdzie ona niewątpliwie do „kroniki wielkich pozytywnych wydarzeń w historii”.

Dla nas Polaków, szczególnie istotny jest chyba fakt, iż Erich Honecker po dając przykład prawdziwie pokojowej i przyjaznej granicy wymienił w Bonn właśnie linię Odry i Nysy. Było to dlań do zrozumienia jego zachodniomiejskim partnerom (a są jeszcze przecież w RFN określone kółka myśliciele), że granica między NRD a RFN też może być i jest tylko normalną granicą pomiędzy dwoma suwerennymi państwami a nie linią demarkacyjną o jakimś szczególnym charakterze.

Niedługo była obecna wizyta przywódcy polskiego w NRD, a mimo to wystarczyła ona — jak to się między przyjaciółmi dzieje — zarówno do szerokiej wymiany poglądów na tematy międzynarodowe jak i do wszechstronnej oceny naszej współpracy. Stosunki bilateralne Polski i NRD rozwijają się dziś pomyślnie zarówno w dziedzinie ekonomicznej jak i kultury, nauki, oświaty czy kontaktów międzyludzkich, w tym szerokiej wymiany młodzieżowej, co ma szczególne znaczenie dla edukacji historycznej młodych pokoleń obu naszych krajów. Szczególnie pomyślnie realizowane są kierunki współpracy gospodarczej wytyczone podczas poprzedniego spotkania przywódców naszych państw w grudniu 1985 roku.

Jak wiemy z naszego własnego, nadodrzańskiego doświadczenia, wydatne korzyści przynosią bezpośrednie kontakty okręgów przygranicznych, ich zakładów pracy, organizacji społecznych, instytucji naukowych i kulturalnych. W tej gęstej sieci powiązań istnieją oczywiście możliwości dalszego rozszerzenia i wzbogacenia wzajemnych kontaktów i współpracy. Te nasze dwustronne związki umacniają całą socjalistyczną wspólnotę. To zaś oznacza jej coraz większą dynamikę i coraz silniejszą pozycję na arenie międzynarodowej.

Dziś, w 37 rocznicę powstania NRD, możemy raz jeszcze śmiało stwierdzić, że nie potrzebujemy uzasadniać rangi naszych wzajemnych stosunków. W wyśtarzający sposób uczyniła to już historia.

MICHAŁ HOROWICZ

W ZIELONOGÓRSKICH UCZELNIACH

* 4 TYS. SŁUCHACZY

* WIĘKSZE ZAINTERESOWANIE STUDIAMI

W bieżącym roku akademickim w dwóch zielonogórskich uczelniach — Wyższej Szkole Inżynierskiej i Wyższej Szkole Pedagogicznej — kształci się będzie 4141 osób na studiach dziennych i zaocznych.

W WSI na czterech wydziałach studiować będzie 990 studentów, z czego mniej więcej 25 proc. to słuchacze zaoczeni. Wśród kadry liczącej 227 osób jest 8 profesorów, 27 docentów, 111 adiunktów i 81 asystentów.

Na początku lat 80-tych szkoła ta na własnej skórze odczuwała spadek zainteresowania studiami wśród maturzystów i miewała kłopoty z rekrutacją. Od trzech lat nie prowadzi się już rekrutacji uzupełniającej. W tym roku na 307 kandydatów na rok I, 178 zdało egzamin, z czego przyjęto 160 osób. Spośród tych, którzy zdali, lecz nie zostali przyjęci, dla 21 osób stworzono szansę, proponując status wolnego słuchacza. Po

pierwszym semestrze będą mogli uzyskać prawa studenta.

Nowością w tym roku jest utworzenie na WSI czwartego wydziału: podstawowych problemów techniki. Na kierunku o tej samej nazwie studiować będzie 27 osób. Zakłada się, że absolwenci będą dysponować obszernym wykształceniem matematyczno-informatycznym oraz organizacyjno-ekonomicznym. Otrzymają ogólne wykształcenie techniczne, umożliwiające współpracę z innymi specjalistami nauki i techniki. Podobne specjalizacje prowadzi jeszcze trzy inne uczelnie w kraju. W programie przyszłościowym uczelnia zielonogórska zakłada, że podstawowe problemy techniki w jej wydaniu będą specjalizacją po nadregionalną, a wykształcenie naszych absolwentów charakteryzować się będzie dużym nasyceniem metod informatycznych w rozwiązywaniu problemów technicznych. Długofalowy program za

Zaodra

Wspólny dokument

ideologiczny NSPJ i SPD

Niemiecka Socjalistyczna Partia Jedności i zachodniomiejska SPD zapoły topór wojny ideologicznej, opracowując wspólny dokument, który został podany do wiadomości publicznej równocześnie w Berlinie i w Bonn — pisze z Berlina AFP, powołując się na tamtejsze zachodnie źródła dyplomatyczne. W dokumencie tym, zatytułowanym „Walka ideologiczna a wspólne bezpieczeństwo”, pierwszym tego rodzaju opracowanym przez obydwie partie od momentu rozłamu w niemieckim ruchu robotniczym w 1919 r. socjaldemokraci i komuniści uznają się za „ponoszących dużą odpowiedzialność w obliczu humanistycznego dziedzictwa Europy”. Wspólny dokument wskazuje ponadto na fakt, że obydwie partie „zamiarują kultywować to dziedzictwo, bronić interesów ludzi pracy oraz doprowadzić do ucielenia w życie zasad demokracji i praw człowieka”.

W stosunku do inicjatywy obydwu partii istnieją poważne wątpliwości w RFN, co znajduje swój szczególny wyraz na łamach prasy konserwatywnej — kontynuuje AFP. „DIE WELT”, która znacznie wcześniej poznała treść tego dokumentu, nazwała go w jednym ze swoich numerów „haniebnym”, dodając, że samo jego istnienie zamazuje niezmiennie doniosłe różnice między socjaldemokratami i komunistami. Na konferencji prasowej w Berlinie Otto Reinhold, marksistowski teoretyk blisko związany z przywódcą NRD Erichem Honeckerem i przedstawicielem SPD Thomas Meyer starali się usilnie dowiedzieć, że dokument nie jest „dokumentem pojednania” między NSPJ i SPD.

Rzeczywiście, w dokumencie obie partie stwierdzają, że debata wokół zagadnień fundamentalnych „będzie trwała tak jak w przeszłości, jednakże będzie prowadzona w atmosferze „nowej kultury politycznej” i będzie się starała nawet „zrozumieć idee drugiej strony”. Celem „tej nowej myśli i tej nowej akcji” — stwierdzają autorzy dokumentu — jest „zlikwidowanie zagrożenia nuklearnego, uratowanie życia, zachowanie biosfery, przezwyciężenie kryzysu ekologicznego i walka z głodem na ziemi”.

Opublikowanie tego dokumentu, który został opracowany przez teoretyków wywodzących się z obydwu partii w przededniu wizyty Ericha Honeckera w RFN, przy aprobacie kierownictwa SPD, może być uznane za sukces partii komunistycznej rządzącej w NRD, która wystąpiła z inicjatywą jego opracowania jeszcze przed kilku laty, oraz efektem polityki rozbrojenia całego obozu socjalistycznego — brzmi ocena obserwatorów w Berlinie.

„NEUES DEUTSCHLAND” zamieścił w numerze z 31 sierpnia br. komentarz poświęcony publikacji powyższego dokumentu stwierdzając, że NSPJ i SPD „wspólnie pracują na rzecz utrzymania pokoju”. Dziennik pisał następnie, że „w tym przypadku chodzi o dokument historyczny, ponieważ po raz pierwszy od 70 lat komuniści i socjaldemokraci sformułowali wspólne stanowisko, a równocześnie określili istniejące odmienne koncepcje ideologiczne”. Sprawa ta ważniejsza — stwierdzał na zakończenie organ KC NSPJ — jest uniknięcie wojny jądrowej, a komuniści i socjaldemokraci starają się wspólnie wyciągnąć wnioski dla swoich partii z tego nakazu naszych czasów.

Nowe zasady nauczania

historii

Biuletyn prasowy zachodniomiejskiego Ministerstwa Stosunków Wewnętrznych „INFORMATIIONEN” zamieścił ocenę nowych zasad nauczania historii w szkołach NRD. Zasady te mają zostać w najbliższej przyszłości wprowadzone w życie. Podaje najważniejsze fragmenty tej publikacji.

Ocena, że NRD jest „punktem szczytowym w całej niemieckiej historii” ma być w najbliższej przyszłości silnie niż dotychczas eksponowana. Wynika to z projektu nowych założeń nauczania historii w klasach od 5 do 10. Te założenia, które zostały niedawno podane do publicznej wiadomości przez Akademię Nauk Pedagogicznych NRD, mają zostać „dogłębnie” przedyskutowane przez nauczycieli historii. Ewentualne zmiany i propozycje będą następne uwzględnione w trakcie sporządzania ostatecznej wersji programu nauczania historii, który wejdzie w życie na początku roku szkolnego 1988/89.

Obowiązujące obecnie poszczególne części programu nauczania historii liczą od sześciu do dwudziestu lat. Dla klas 5-7 pochodzi on z roku 1981, dla klasy 8 wszedł w życie jeszcze w roku 1977, a dla klasy 10 — z 1977 r. Opracowanie zupełnie nowej wersji programu nauczania historii dla klas 5-10 ma niewątpliwie swoje źródło w tym, że historia NRD, która jest nauczana począwszy od klasy 9, ma być potraktowana w sposób bardziej wyczerpujący i intensywny. Pociąganie to za sobą przesunięcie innych tematów nauczania historii do klas niższych.

Walka z alkoholizmem

W Niemieckiej Republice Demokratycznej mówi się coraz częściej o potrzebie ograniczenia spożycia alkoholu. Jak pisał ostatnio zachodniobermberski „DER TAGESSPIEGEL”, nasi zachodni sąsiedzi zajmują w tej dziedzinie czołową pozycję w Europie. Wprawdzie alkoholizm nie jest tu zjawiskiem tak powszechnym jak w naszym kraju, ale systematycznie rośnie. W ciągu minionych 15 lat spożycie alkoholu wzrosło prawie pięciokrotnie. Obecnie statystyczny mieszkaniec tego kraju wypija rocznie ponad 15 litrów w przeliczeniu na czysty spirytus. Zdaniem dyrektora jednej z przychodni zdrowia w stolicy NRD, Berdy Nickela, obecnie około 10 procent obywateli całej republiki nadużywa alkoholu. Stanowi to poważny problem społeczny i przynosi duże szkody dla gospodarki narodowej. Mnożą się bowiem wypadki w pracy oraz w ruchu drogowym, których sprawcami są ludzie w stanie nietrzeźwości. Alkohol jest również przyczyną pojawiania się licznych problemów w życiu rodzinnym. Dlatego też od pewnego czasu tu też jest opinia publiczna, zwłaszcza lekarze i działacze społeczni domagają się ograniczenia picia wódki, szczególnie wysokoprocentowej. W tym celu w środkach masowego przekazu, przede wszystkim w radio i telewizji, mówi się bardzo wiele o szkodliwości nadużywania alkoholu dla zdrowia ludzkiego oraz innych jego ujemnych skutkach. Jednak skuteczność tych działań jest niewielka. Liczba nalogowych alkoholiczków zwiększa się nadal. Główną tego przyczyną jest bardzo szeroka dystrybucja alkoholu. Praktycznie sprzedaż wódki oraz innych napojów wysokoprocentowych prowadzi wszystkie tutejsze sklepy spożywcze, a także niezwykłe szereg w tym kraju sieć tzw. małych gastronomii. W dużych ośrodkach miejskich kieliszek lub więcej „czystej” wódki można doświadczyć o każdej porze dnia, również w placówkach kulturalnych. Stąd też wśród licznych wniosków mających na celu położenie tamy tej społecznej pladze wskazuje się na

klada także prowadzenie przyszłościowych specjalności jak: projektowanie i organizacja zautomatyzowanych systemów produkcyjnych, techniki biomedycyny, informatyka i matematyka stosowana.

Z REGIONU

W nowym roku akademickim Wydział Budownictwa i Inżynierii Sanitarnej WSI otrzymał uprawnienia do nadawania stopnia doktora nauk technicznych w zakresie budownictwa.

Jest nadzieja, że wkrótce zakończona zostanie historyczna już, bo trwająca 13 lat, budowa dużego obiektu dydaktycznego, który pomieści 3 wydziały z salami, laboratoriami. Na początku roku akademickiego powinny być wreszcie przejęte przez uczelnię dwie kondygnacje tego gmachu, w końcu roku kalendarzowego Kombinat Budowlany obiecuje oddać do użytku całość.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna kształcić będzie młodzież na 12 kierunkach. W ubr. zakończyła tutaj edukację 303 absol-

wentów, którzy jako pierwsi w tej uczelni studiowali przez pięć lat. Aktualnie w WSP studiują 2060 osób w systemie dziennym. 993 w systemie zaocznym i 98 osób na studiach poddyplomowych. Pierwszy rok rozpocznie prawie 500 dziewcząt i chłopców, najwięcej słuchaczy przyjęto na filologię polską, matematykę, nauczanie początkowe i wychowanie techniczne. Prowadzona w tym roku rekrutacja według nowych zasad jest oceniana pozytywnie. Ważnym etapem przygotowań do nowego roku akademickiego była studencka akcja letnia. Uczestniczyło w niej 700 osób, które w czasie wakacji brały udział w rozmaitych obozach: adaptacyjnych, naukowych, sportowych, artystycznych, szkoleniowych, międzynarodowych obozach pracy i studenckich praktykach robotniczych, obowiązkowych dla rozpoczynających studia.

W Wyższej Szkole Pedagogicznej zatrudnionych jest 300 pracowników dydaktyczno-wychowawczych, w tym 42 profesorów i docentów, 83 adiunktów i 175 innych osób zajmujących się nauką i dydaktyką. Uczelnia zatrudnia ponadto 50 osób na pół etatu, z czego 20 jest profesorami i docentami i 28 adiunktami.

LUCYNA GRABOWSKA

potrzebę zmniejszenia ilości punktów zajmujących się sprzedażą alkoholu oraz jego wyszynkiem, a także na podwyżkę cen. Stosunkowo niskie ceny na napoje wysokoprocentowe, w połączeniu z szeregiem ich dystrybucji, a niekiedy nawet reklamą sprzyjają rozwojowi alkoholizmu. Należy się zatem liczyć z podniesieniem cen na niektóre jego gatunki. Jednocześnie mówi się, że decyzji takiej powinno jednak towarzyszyć rozszerzenie sprzedaży innych napojów o zmniejszenie wartości alkoholu oraz zwiększenie ich asortymentu i jakości. Znajdujące się obecnie w sprzedaży, bardzo rzadko znajdują nabywców.

(X)

ZaŁaba

SDI szkodzi handlowi

ze Wschodem

Zdaniem rzecznika frakcji SPD w Bundestagu ds. polityki gospodarczej, Wolfganga Rotha, Inicjatywa Obrony Strategicznej bardzo zaciążyła na handlu Republiki Federalnej ze Wschodem. O ile wcześniej zgodę na transakcję z krajem socjalistycznym wydawało się w ciągu 30 dni, o tyle obecnie na zezwolenie Federalnego Urzędu Gospodarczego ds. Eksportu Dóbr Techniki Informacyjnej do krajów bloku wschodniego czeka się cztery do pięciu miesięcy. W dziedzinie najnowocześniejszej technologii zwłoka nierzadko wynosi 12 miesięcy.

Według SPD, z powodu SDI nie doszło do skutku liczne transakcje, np. dotycząca sprzedaży Węgrów systemu telefonicznego stuttgartskiej firmy elektronicznej Standard Elektrik Lorenz (SEL). Roth powiedział, że zna jeszcze inne przypadki, ale odnośnie firmy prosi o niewymienianie ich nazw.

Rzecznik federalnego ministerstwa gospodarki odrzucił krytykę dotyczącą handlu ze Wschodem. Jak powiedział w nawiązaniu do słów Rotha i Ehmkego, nie jest prawdą, że porozumienie w sprawie SDI utrudnia transfer technologii. Nie jest też znany ani jeden przypadek, w którym do skutku sprzedaż, powiedział rzecznik dziennikarom. Zaśadniczo też wcale nie zmienił się czas oczekiwania na zgodę. Ogólnie biorąc, mówił, czas ten, wynoszący kilka tygodni lub miesięcy, jest nawet „nadmierzająco krótki”. Czasami dochodzi do zwłoki, gdy w ramach COCOM istnieje rozbieżność poglądów.

Nawiązując do przypuszczenia Rotha, że nastąpiło rozszerzenie listy COCOM, a więc towarów wyłączonych z eksportu do krajów socjalistycznych, rzecznik ministerstwa powiedział, że z inicjatywy Republiki Federalnej i Wielkiej Brytanii bada się możliwość skrócenia tej listy: decyzja ma zapadć jesienią tego roku. Rząd federalny wychodzi z założenia, że dostawie sprzętu o istotnym znaczeniu wojskowym można skutecznie zapobiec tylko wtedy, gdy lista będzie możliwie krótka.

(X)

Problemy

Berlina Zachodniego

Wprawdzie Berlin Zachodni nie leży za Łabą ani też nie stanowi integralnej części Niemieckiej Republiki Federalnej, ale wspólna z nią waluta i szereg innych powiązań sprawia, że wiadomo o tym miastu również lokujemy w tej rubryce.

Berlin Zachodni należy do największych ośrodków finansowo-handlowych i przemysłowo-usługowych w Europie. Wystarczy stwierdzić, że produkcja brutto tego miasta, wynosząca 70 miliardów marek, odpowiada mniej więcej produkcji brutto Grecji.

Wysokie morale

pracowników

Okazuje się, że moralność pracy w Republice Federalnej wcale nie upadła, jak niekiedy się twierdzi — pisze dziennik „Die Welt” (nr 159) omawiając wyniki ankiety. Jak ustalił Instytut Badań na Opinię Publiczną Emid po przeprowadzeniu 2000 robotników i urzędników niższego szczebla, istnieje duża gotowość do świadczenia na rzecz pracodawcy jeszcze więcej — ale przy odpowiednich bodźcach, z których najważniejszym jest wyższy zarobek. Zaledwie jedna piąta respondentów odrzuciła możliwość zwiększenia wydajności swojej pracy. Jeśli wziąć pod uwagę, że część ankietowanych ze względów zdrowotnych lub z uwagi na wiek już osiągnęła granicę wydajności, to — stwierdza ekspertyza Instytutu — uzyskane wyniki są dobrym znakiem. Zmieniła się wszakże ocena pracy: liczba ludzi, którzy na czoło wysuwają również takie wartości jak rodzina i czas wolny, jest prawie taka sama jak liczba tych, którzy tradycyjnie odznaczają się wysoką moralnością pracy.

(X)



Czesław Luniewicz jest dokumentalistą, fotoreporterem, artystą i nau-
czycielem. Kolejność można zmienić, i
tak nie będzie miało to żadnego zna-
czenia, gdyż mistrz z tą samą gorliwo-
ścią fotografuje zabytki, twarze plasty-
ków, gesty aktorów, Zieloną Górę fe-
stiwalową, przyjaciół i zupełnie mu
obcych ludzi, jak i kształci debiutan-
tów fotografii. Andabata twierdzi, że
Luniewicz z aparatem na deptaku
przypomina myśliwego. Przyciąga się
w bramie, w jakimś zaułku i czeka,
aż podejdzie temat. Zauważa Jan Muszyński
przypomina sobie: Góły do pasa,
koszuła w ręce, aparat na ramieniu.
Idzie wolno, włos rozczochany, tors opa-
lony. Idzie bezwstydnie, półnago, pa-
try gdzieś przed siebie. Chodzi po
tym mieście jak jego właściciel (...)
Jak podejść do tego żubra w sercu
miasta, na oczach ludzi, jak rozma-
wiać z nim bez poczucia zażenowa-
nia, tym bardziej że mimo próśb nie
włoży koszuli wiadomo, artysta! Jest
niepodległy i decyzyjnie podejmuje suwe-
rennie. Halina Ańska pyta: Jaki to
obiektyw szalony, jaką soczewkę zain-
stalowała w nim natura, że dostrzeża
on i zatrzymuje w bezruchu to jedno,
jedynie, wybrane z tysiąca innych,
mglenie?

Wiosną tego roku Czesław Luniewicz
skończył 60 lat, lecz nikt, kogo znam,

nie dostrzegł tego. Luniewicz chodzi
prosto, szybko, sprężysto, śmieje się,
żartuje, narzeka, poważnie i znowu
wybucha okrzykiem. Urodził się na
wsi podwileńskiej, był szczotkarzem,

biornik telewizyjny było tak samo tru-
dno jak dziś, skonstruował pierwszy
w Zielonej Górze telewizor dalekiego
zasięgu. W dwa lata później zielono-
górzanin chodził do Klubu LPZ oglą-

go, choć po latach powie, że precyzyj-
nie farmaceutycznie nadzwyczajnie pomaga mu
konserwować świat wizji fotograficznej.
Z apteki przeniósł się do Muzeum Zie-
mi Lubuskiej, po roku pracy został re-

twórców bywało na Ziemi Lubuskiej.
Tą wystawą mistrz dowiódł, że jest ja-
dynym, który towarzyszył i „lubuskie
mu eksperymentowi kulturalnemu”, i
„lubuskiej drodze do uniwersytetu”, i
„czwartkom lubuskim”, niczego nie
opuścił, o nim nie zapomnieli.

Artysta został Czesław Luniewicz
już wtedy, kiedy po raz pierwszy
wziął do ręki aparat fotograficzny.
Szybko okazało się, że ma talent, dy-
sponuje niezłą techniką, jest esteta. W
1977 roku przygotował ekspozycję
„Ontogeneza”, którą wprawił w zakło-
potanie tak widzów, jak i krytyków.
Po latach fotografowania kobiet odwa-
żył się pokazać je inaczej; powiedział:
Kobieta nie odpoczywa, ona zawsze
nad czymś pracuje, coś obmyśla. Ze
swej przeszłości i smutku próbuje
utkać gwiazdzone niebo wspomnienia.
Zauważył to Ryszard Kielb, pisząc:
Swoim fotograficznym wystąpieniem
Czesław Luniewicz daje nam propozycję
gry intelektualnej. Zaraz potem
artysta przygotował trzy wystawy, każ-
da inną, a jednak zbliżone do siebie,
były to: „Michał Kaziów”, „Klem” i
„Gwizdała”. Wartość tych fotografii
kwiliła w tym, że żyły one, zawierały
ruch, nastroj. Krytyk pisał: Błyska-
wiczna decyzja i spostrzegawczość to
jedne z największych zalet fotografu-
jącego, lecz nie każdy z trzymających
aparat je posiada. Luniewicz posiada
je. Wspomniany już Ryszard Kielb
miał odwagę powiedzieć, że Operowa-
nie różnego rodzaju kodami, jak: świa-
tłocien, linearność, stopień przenika-
nia ostrości, kreska w głębokiej czerni,
gradacje ziarna oraz odpowiedni
ich układ powoduje każdorazowo inne
działanie obrazu fotograficznego.
Zauważa, że Jan Muszyński tak ocenił wartość
twórczości Luniewicza: Cała ta, lata-
mi zgromadzona wiedza i techniczna
biegłość, postawiły mu do zaprezen-
towania siebie jako fotografa bacz-
nie obserwującego ludzkie losy. Poka-
zał nam się nie tylko jako fotograf,
ale także przekazał, co myśli na te-
mat fotograficznego obiektu w kontek-
ście szerokiej sprawy ludzkiej egzy-
stencji.

Pracą pedagogiczną zajął się Cze-
sław Luniewicz stosunkowo późno.
Najpierw był wykładowcą w Wyższej
Szkołe Pedagogicznej, gdzie odnosił
sukcesy, ale okazało się, że za dużo
wymaga od swoich słuchaczy. Niezra-
żony tym zebrał grupkę studentów,
absolwentów, techników, urzędników
i w swojej redakcyjnej pracowni za-
czął uczyć ich fotografowania, co, jak
się szybko wydało, przyniosło mu nie-
mądy sukces. Bodaż na dwunastu wy-
stawach organizowanych w Zielonej
Górze, Gorzowie i Chociebusku, człon-
kowie grupy „Nadodrza”, wykazali się
niezłym opanowaniem sztuki fotogra-
fowania. Potem dokształcał członków
żarskiej grupy „Luzyce”. A kiedy obie
grupy przysnęły, podjął się obowią-
zków konsultanta do spraw fotografii
w Wojewódzkim Domu Kultury. Był
współorganizatorem dwu wystaw amato-
rskich — instruktorów fotografii i
IV Biennale Artystycznej Fotografii
Amatorskiej.

Cz. Luniewicz jest w pełni sił twór-
czych, systematycznie uczestniczy w
ważniejszych krajowych wystawach i
dyskusjach fotograficznych, zdobył sławę
i rozgłos, mimo to marzy: Chciał-
bym zrobić takie zdjęcie albo collage,
z którego wynikałoby, że historia to
ostatczoności wyjaśni rację poszcze-
gólnych ludzi i społeczeństw.

Czesław Luniewicz — ur. w 1927 r.
w Dziegiełarach na Litwie. Ukończył
studia na Wydziale Budownictwa Po-
litechniki Poznańskiej. Od 1977 r.
członek Związku Polskich Artystów
Fotografików. Ważniejsze wystawy:
Teatr w fotografii (1965), Akt (1974),
Przemijanie (1976), Ontogeneza (1977),
Michał Kaziów (1978), Klem (1980),
Gwizdała (1982), Moi współcześni
(1986), Odnaczenia i nagrody: Medal
10-lecia Polski Ludowej (1955), odzna-
ka „Zasłużony działacz kultury”
(1971), Złoty Krzyż Zasługi (1977),
medal „Za zasługi dla miasta Zie-
lonej Góry” (1977), odznaka honorowa
„Za zasługi w rozwoju województwa
zielonogórskiego” (1978), Lubuska Na-
groda Kulturalna (1975, 1987).

PORTRET BEZ RETUSZU

Alfred Siatecki

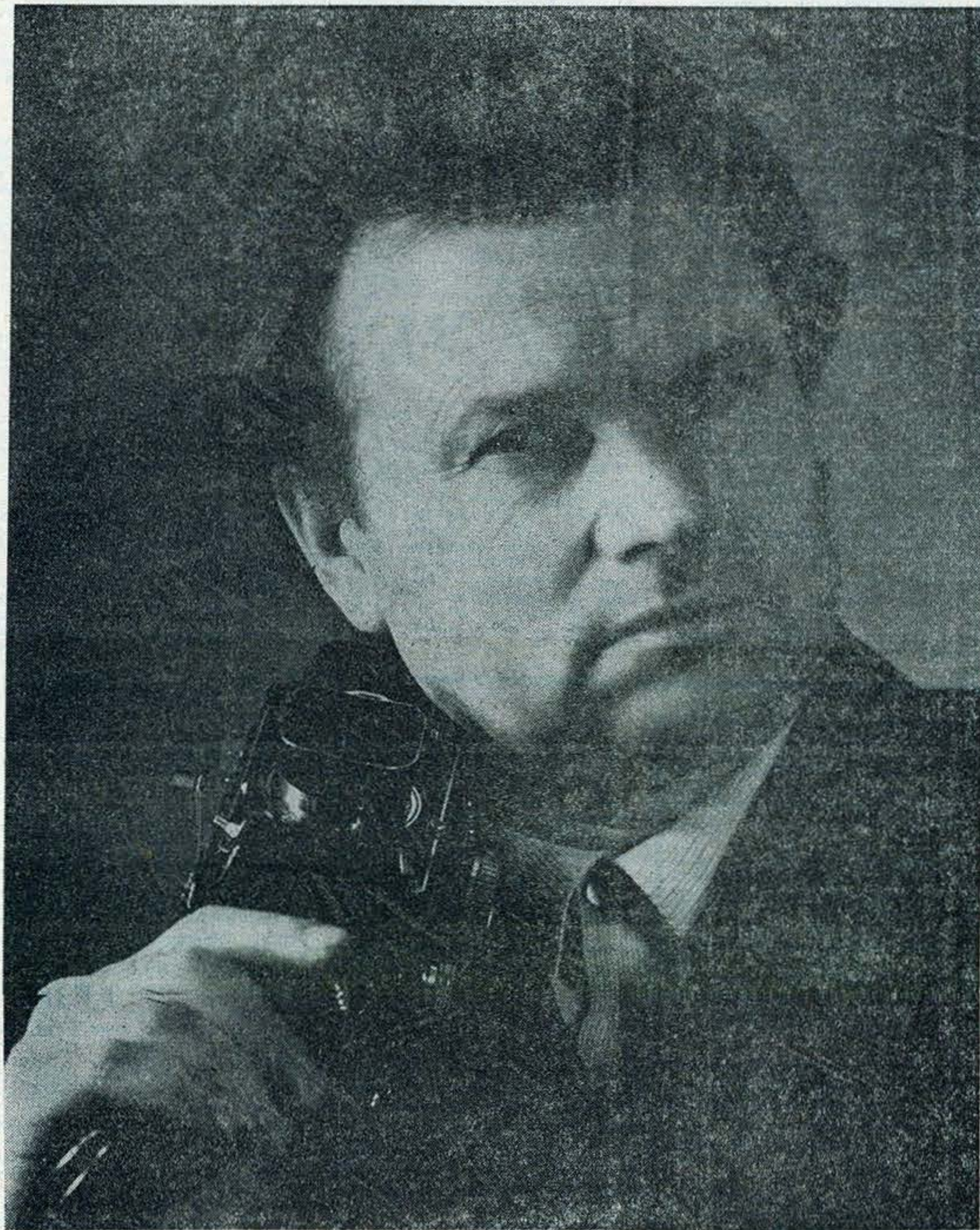
saperem, drwalem, cieślą, flisakiem.
Między kłody na trawie wbiłem pa-
lik i przywiązałem lusterko —
wspomina. — Widziałem do przodu, a
także w lusterku, co się dzieje za mną.
Częściej patrzyłem w lusterko. Było
to ciekawe. Jeszcze ciekawiej było,
gdy kładłem lusterko na trawie i sie-
dząc patrzyłem na wodę i chmury. To
był chyba mój pierwszy w życiu film.
Kiedy dopaliła się noc wojny, wraz z
matką i rodzeństwem przyjechał do
Miedzyrzecza, został traktorzystą, po-
tem palaczem na nocnej zmianie. Ma-
łą maturę zaliczył w Lesznie, ukończył
Liceum Ogólnokształcące w Zielonej
Górze i Liceum Farmaceutyczne w
Szczecinie. W 1954 roku, kiedy o od-

dać telewizję berlińską, a gazety infor-
mowały o wynalazkach Luniewicza.
Do 1964 roku pracował w aptece „Pod
Filarami”. Ustawiał aparat na mojej
ładzie i wycelował w okno. Dokład-
nie obiektyw wchodził w ekran szyby
wystawowej. Naciągnąłem migawkę i
czekałem. Gdy tylko coś wydawało mi
się godne, robiłem zdjęcia. Właściwie
to były zdjęcia ludzkich głów... Labo-
ratorium miałem na zapleczu apteki.
Jak się bardzo uparłem, to nawet pod
czas godzin pracy szedłem na zaple-
cze i wywoływałem... Potem te zdjęcia
wklejałem w długi pasek papieru i
wywieszałem na ścianie, właśnie na
zapleczu — przypomina sobie. Był ap-
tekarzem, ale zawód ten nie pociągał

porterem w redakcji „Nadodrza”, któ-
rą opuścił dopiero w roku 1982. Skoń-
czył studia inżynierskie, został człon-
kiem Związku Polskich Artystów Foto-
grafików, urządził własną pracownię.
Później studia w Politechnice Poznań-
skiej do niczego nie były mu potrzeb-
ne, nie zamierzał ani projektować, ani
budować, w rzeczywistości im za-
wdzięcza tak niezbędną w fotografii
umiejętność określenia właściwych
proporcji przedmiotu i obrazu.

Praca Luniewicza-reportera zawar-
ta jest w „Nadodrzu”. Każdy numer
pisma otwiera zdjęcie: a to smukła
wieża ratusza zielonogórskiego, a to
ta sama wieża widziana ze Wzgórz
Winińskich, to znowu twarz hutnika gło-
gowskiego ociekająca potem, to Juri
Gagarin na budowie gmachu WSI, to
Światosław Richter w Filharmonii Zie-
lonogórskiej, to jeszcze Jarosław Iwasz-
kiewicz obiegany przez czytelników, i
premier w rozmowie z wojewodą. Sta-
nisław Cynarski w roli Jowialskiego.
Inauguracja roku akademickiego w
WSP. Otwarcie festiwalu piosenki ra-
dzieckiej. Nic, co się działo na Ziemi
Lubuskiej, nie było obce Luniewiczowi.
Od wielu lat co dwa tygodnie kładzie
na biurku redakcyjnym plik zdjęć, któ-
re później zdobią łamy „Nadodrza”.
Reporter Luniewicz musiał jeszcze zilu-
strować reportaż Henryki Doboszowej,
artykuł Ryszarda Rowińskiego, felie-
ton Haliny Ańskiej. Miał czas fotogra-
fować piękne Lubuszanki, które przez
wiele lat uśmiechały się do czytelników
z ostatniej strony „Nadodrza”.
Potem wpadł na pomysł, by w każ-
dym numerze był akt, który, co tu du-
żo ukrywać, rozstawił jego i pismo.
Dzięki „Nadodrzu” — tłumaczy — mo-
gę także uczestniczyć w jakiejś czę-
ści realizacji programu kulturalnego
województwa. Swoje zdjęcia publiko-
wał w książkach LTK, informatorach,
albumach i prezentował je na wielu
wystawach krajowych.

Luniewicz — dokumentalista notuje
wygląd Zielonej Góry tej codziennej i
ukrytej za rozsypanych murami,
wielkiej i małej, świątecznej i powsze-
dniej. Na wystawach „30 lat mojego
miasta” i „Zielona Góra — moje mia-
sto” pokazał powojenny rozwój stolicy
środkowego Nadodrza, nie wstydzil
się wytknąć gospodarzom miasta nie-
doróbek, zapomnianych fasad, opi-
czonych ruder. Jako dokumentalista
zawsze uczestniczy w ważkich wyda-
rzeniach politycznych i kulturalnych.
Nikt w Zielonej Górze nie zgromadził
tak ogromnej galerii postaci, które
przemawiały, otwierały, występowały.
Swoim obiektywem zanotował budowę
okazałego gmachu książnicy wojewódz-
kiej, wszystkie festiwale piosenki ra-
dzieckiej oraz zespołów pieśni i tań-
ca, sympozja i wystawy zlotogronowe,
salony jesienne, oba zjazdy pisarzy
ziem zachodnich i północnych, więk-
szość spektakli scen zielonogórskich.
Fotografował pierwszych sekretarzy i
wojewódzów, dyrektorów i ich asysten-
tów, reżyserów i dyrygentów. Wszy-
stkie negatywy opisał, ułożył w szufla-
dach, skatalogował. Jego ogromne ar-
chiwum przechowuje konfekty Julia-
na Przybosia, Jana Marii Giesasa,
Jerzego Putramenta, Melchiora Wań-
kowicza. Są również zdjęcia tych, któ-
rzy wyjechali z Zielonej Góry, a więc
Marka Okopińskiego, Szymona Kawa-
lli, prof. Bronisława Ratusia, Andrzeja
Wańkiewicza, Bolesława Solińskiego,
Zygmunta Trzaski, Władysława Grynia
Machalicy, Kwaśniewskiej. Po latach
dogłębnego portretowania, utrwalania
na błonie celuloidowej tych wartości,
które stworzyli plastycy, aktorzy, lite-
raci, muzycy, zorganizował Luniewicz
wystawę „Moi współcześni” i dopiero
wtedy się okazało, ilu znakomitych



Fot.: ANNA LUNIEWICZ

Z okazji XXX-lecia „Nadodrza”

GRATULACJE I SERDECZNE ŻYCZENIA

Z okazji XXX-lecia „Nadodrza” wply-
nęły na ręce redaktora naczelnego Ja-
nusza Koniusza i całego zespołu redak-
cyjnego pisma, liczne gratulacje i życze-
nia od organizacji politycznych i spo-
łecznych, zaprzyjaźnionych redakcji, in-
stytucji i placówek kulturalnych oraz
od pojedynczych osób.

W poprzednim 19(650) nr „Nadodrza”
opublikowaliśmy listy podpisane przez
pierwszych sekretarzy KW PZPR w Go-
rzu i Zielonej Górze oraz wojewo-
dów gorzowskiego i zielonogórskiego.

Opublikowaliśmy także obszerne frag-
menty wystąpienia I Sekretarza KW
PZPR w Zielonej Górze ZBIGNIEWA
NIEMINSKIEGO na jubileuszowym spot-
kaniu z dziennikarzami „Gazety Lubus-
kiej” i „Nadodrza”. Dalsze listy i tele-
gramy przekazali m.in. Szef Zarządu
Politycznego Śląskiego Okręgu Wojsko-
wego gen. bryg. ZDZISŁAW ROZBIC-
KI — „Dwutygodnik społeczno-kultural-
ny „Nadodrza” cieszy się dużą popular-
nością w środowisku żołnierzy służą-
cych na Ziemi Lubuskiej. Wasze publi-
kacje przybliżają im historię i dorobek

tej ziemi...”; redaktor naczelny za-
przyjaźnionego z nami tygodnika „No-
wy Casnik” z Chociebuska (Cottbus)
HORST ADAM — „Gaz buzo kulturalny
casopis „Nadodrza” nento 30 let stary,
pon comy teke my bys mjaży gratulan-
tami zbliska a zdaloka. Z leta 1979 ze-
lamy z Wami gromaze a smy se w tych
pisamem ? letach na usaki part mjaży
sobu pomagali a podporowali to zurnalis
tiskem a drugich zelach. Naso zgromad-
ne zeto teke w komplikowanych casach
jo k tomu psipomagalo, az je se psija-
selstwo mjaży wobydlarjami wojwod-
stwa Zielona Góra a wobwoda Chose-
busz dalej skusilo. Mloge psinoski w NO
WYM CASNIKU a w „Nadodrzu” su k
tomu psinosowali az su wobydlarje na
wobema bokoma Nise lepiej zeznali. Psi-
tom su grali Serby a jich kultura wje-
li ku rolu...”; redaktor naczelny „Ziemi
Gorzowskiej” MACIEJ WOŹNY — „30-
lecie Waszego pisma jest świętem nie
tylko „Nadodrza” ale także wszystkich
jego wiernych czytelników, wśród któ-
rych są również dziennikarze naszego ty-
godnika...”; podobne życzenia przekazali
nam dziennikarze „Gazety Lubuskiej”
obchodzącej swój jubileusz 35-lecia; I
Sekretarz KM PZPR w Zielonej Górze

BOGUSŁAW PIETRULEWICZ i sekre-
tarz KM MICHAŁ SZEWCUK; prezes
WK ZSL w Zielonej Górze JANUSZ
TOMAWSKI — „Wśród ludowców szcze-
gólnym uznaniem cieszy się populariza-
cja amatorskiej twórczości ludowej i
prezentacja dorobku społeczno-kultural-
nego naszej wsi...”; przewodniczący WK
SD w Zielonej Górze HENRYK STAW-
SKI — „Proszę przyjąć wyrazy nasze-
go podziękowania za wieloletni wysiłek
oraz życzenia wszelkiej pomyślności dla
całego zespołu redakcyjnego...”; szefo-
wie WUSW w Gorzowie i w Zielonej
Górze plk. LECH KOSIOROWSKI i plk.
inż. ALEKSANDER BORYSIEWICZ;
prezidium Gorzowskiego Towarzystwa
Kultury i prezydium Lubuskiego Towar-
zystwa Kultury; Dyrektor Naczelny i
Artystyczny Filharmonii zielonogórskiej
CZESŁAW GRABOWSKI — „Wasz spo-
łeczno-kulturalny dwutygodnik zapisał
w ciągu minionych 30 lat piękne karty
w pobudzaniu społecznych inicjatyw in-
tegrujących mieszkańców środkowego
Nadodrza wokół szeroko pojętych prob-

lemów kultury. Życzymy serdecznie, by
profil pisma coraz bardziej odpowiadał
potrzebom czytelników, by różnego ty-
pu odważne pomysły znajdowały, żyć
lithych odbiorców...”; TADEUSZ CHROŚ
CIELEWSKI z Łodzi — „Dowiedziałem się
z telewizji o pięknym jubileuszu „Nad-
odrza”, z którym łączy mnie więź ser-
deczna — z mojej strony nigdy nie wy-
gasa — pozdrawiam sobie złożył na Pana
rece... najlepsze z możliwych życzenia
dla Pisma, Pana, Jego dużej i małej Re-
dakcji (duża to współpracownicy) i Śro-
dowiska dalszych nieustających sukce-
sów, ogólnokrajowej poczytności — to dla
pisma, a dla piszących — dużo zdrowia
i siły...”; pierwszy redaktor naczelny
„Nadodrza” prezes Oddziału ZLP w Lub-
linie TADEUSZ JASIŃSKI, (osobiscie)
ZBIGNIEW JUJKA — wiceprezes Stowa-
rzystwa Polskich Artystów Kary-
katury (osobiscie) i wielu innych.

Wszystkim serdecznie dziękujemy za
pamięć i życzliwość.

(n)

POD ZNAKIEM RODŁA



Franciszek Juszcak, opiekun oddziałów ZPwN w Sycowie i Zielonej Górze

Rep. CZESŁAW LUNIEWICZ

Minęła 65 rocznica utworzenia Związku Polaków w Niemczech. Utworzyli go 27 sierpnia 1922 r. w Berlinie działacze polskiej mniejszości narodowej w celu wywalczenia sobie praw należących takiej mniejszości oraz konsolidacji wewnętrznej ponad półtoramilionowej rzeszy Polaków w Niemczech. U progu 1930 r. Związek liczył ponad 60 000 członków, a tuż przed wybuchem II wojny około 32 000.

O tym jak bardzo dbał o losy i położenie ludności polskiej w Niemczech, niech świadczyć uroczyste proklamowane na Kongresie organizacji w Berlinie 6 marca 1938 r. tak zwane Prawdy Polaków. Oto one: Jesteśmy Polakami. Wiara ojców naszych jest wiarą naszych dzieci. Polak Polakowi bratem. Co dzień Polak narodowi służy. Polska Matką naszą — nie wolno mościć o Matkę złe. Te prawdy konsolidowały Polaków nawet w chwilach najtragiczniejszych.

Ojcem Rodła-symbolu ZPwN był dr Jan Kaczmarek, syn polskiego górnika z Bochum w Westfalii. Po ukończeniu studiów w Berlinie, nie wyjechał do Macierzy, Pozostał w Niemczech, by tu służyć Polsce i Polakom. Był człowiekiem o wyjątkowej wiedzy i inteligencji. Niejednemu raz zaskakiwał swoją energią, odwagą i oryginalnością pomysłów. Kierownikiem nacelnym Związku Polaków w Niemczech został wybrany w wieku zaledwie 26 lat i pełnił to odpowiedzialne stanowisko z narażeniem własnego życia, aż do lata 1939 roku.

W tym czasie Hitler budował państwo totalne, a swastyka stała się godłem państwowym III Rzeszy. Helena Lehr wspomina: „Znaleźliśmy się między młotem a kowadłem. Z jednej strony dalej obowiązywał pruski zakaz używania przez Polaków obywateli Rzeszy — znaku białego orła. Z drugiej — strony nie do przyjęcia dla nas — swastyka”. I dlatego dr Kaczmarek postulował: „Musimy mieć własny, narodowy znak”. I tak narodziło się Rodło.

Znak Rodła narysowała Janina Kłopotka. Odzwierciedlał on rzeczywisty bieg Wisły oraz sylwetkę Wawelu z napisem Kraków. A pod tym zamieszczono tekst o następującym brzmieniu: „Jesteśmy Polakami. Należymy do narodu polskiego, którego kultury kołębą jest Kraków, wierną rzeką Wisła. Te dwie sły to Rodło, które nie jest herbem ani godłem, ale symbolem naszego pochodzenia i łączności naszej z całym narodem polskim i jego duszą”. Rodło stało się znakiem przynależności do ZPwN i symbolem tożsamości narodowej, szczególnie w latach hitlerowskiego terroru.

Jednym z wybitnych działaczy Związku Polaków w Niemczech był Franciszek Juszcak. Nie był do niedawna postacią zbyt znaną. Obszerną infor-

mację o jego życiu i działalności społeczno — politycznej podali m.in. Jerzy Oleksinski, pracownik naukowo — dydaktyczny WSP w Zielonej Górze w pracy „I nie ustali w walce” którą opublikowała „Nasza Księgarnia” w 1980 r. oraz Bogusław Czajkowski w książce „Wszystko o Rodle” (KAW Warszawa 1975).

Franciszek Juszcak urodził się w Baranowie koło Kępna 17 września 1899 r. Do Wrocławia przybył w 1915 r. jako żołnierz frontowy ranny w nogę, którą mu amputowano w jednym z miejscowych szpitali. Po okresie rekonwalescencji pracował początkowo jako krochmalnik, a później założył własny zakład. Zawód ten umożliwił Juszcakowi częste kontakty z klientami — Polakami, wśród których rozpoznał agitację polityczną i rozwinął idee narodowe i patriotyczne.

Polski krawiec rozpowszechniał wśród rodaków polskie książki i pisma, agitował za wstąpieniem do polskich organizacji, wzywał rodziców, abyby wychowywali swe dzieci w polskim duchu. Założył koło śpiewacze, które w 1919 r. przekształciło się w Towarzystwo „Śpiewu Harmonii” oraz Polską Partię Lokatorów (1929 r.), która w czasie wyborów do władz miejskich Wrocławia walczyła o polską reprezentację i broniła żywotnych interesów Polaków. Kierował również Towarzystwem Gimnastycznym — Sportowym „Sokół” i współpracował z miejscową drużyną harcerską.

Największe zasługi dla polskości Dolnego Śląska położył F. Juszcak jako mąż zaufania (od 1922 r.), a następnie (od 1923 r.) jako prezes Związku Polaków w Niemczech na okręg dolnośląski. Do tej dzielnicy należały również oddziały ZPwN w Sycowie i Zielonej Górze.

Juszcak utrzymywał osobiste kontakty z prezesem oddziału ZPwN w Zielonej Górze Walentym Kliksem i Kazimierzem Lisowskim — prezesem Towarzystwa Rzemieślników Polskich, w którego to zebraniu wziął udział 30 sierpnia 1930 r. Wyraził wówczas szczerą troskę o przyszłość Polonii zielonogórskiej. Nie była ona zbyt liczna, w dużej mierze uległa procesowi germanizacji.

W sprawozdaniu z tego zebrania Juszcak napisał m.in. „Muszę też nadmienić o smutnym objawie, który w Zielonej Górze istnieje ze młodzieżą całkiem się germanizuje i nie rozmawia między sobą po polsku (bo nie umie). Członkowie (tzw. Towarzystwa Rzemieślników Polskich — przyp. W.H.) w Zielonej Górze popielają jeden błąd, i to błąd kardynalny, że nie dbają nad wychowaniem swych dzieci. Dlatego już dzisiaj można z całą pewnością powiedzieć, że za kilka lat życie polskie w Zielonej Górze zupełnie zaniknie”.

Gorzkie to były stwierdzenia, ale taka była prawda i nie można jej było ukrywać wśród swoich. Juszcak do dziś pisał: „Przyczyną tego, jak wszędzie, małżeństwa mieszane, których w Zielonej Górze nie brak nie (...). Inteligencji polskiej, która by utrzymywała lud polski na poziomie narodowym i uprawiała wśród niego propagandę polską w Zielonej Górze, nie ma”. Trzeba więc było zdecydowanych działań i o nie to postulował z ramienia ZPwN Franciszek Juszcak.

Odnajdujemy jeszcze, że działacz polonijny z Wrocławia, zapoznał uczestników zebrania w Zielonej Górze z życiem Polaków we Wrocławiu i na Dolnym Śląsku oraz w całych Niemczech. Przypomniał o obowiązku pielęgnacji języka ojczystego. Wyraził też przekonanie, że w końcu uda się otworzyć polonii zielonogórskiej szkołę polską. Szkoły takiej w Zielonej Górze nie udało się wówczas otworzyć ze względu na brak nauczyciela.

A jednak Polonia zielonogórska nie ugięła się pod hitlerowskim terrorem, choć po 1933 r. zarówno Oddział Związku Polaków w Niemczech jak i Towarzystwa Rzemieślników Polskich musiały zejść do podziemia. Tylko je sześć przez dwa lata zbierała się grupa Polaków na zebraniach swych organizacji. Policja hitlerowska nasiliła inwigilację. „Wizyta” Kazimierza Lisowskiego w gestapo w dniu 25 września 1935 r. była ostatnią. Zginął tam z rąk hitlerowców.

Franciszek Juszcak przeżył wojnę. W maju 1945 r. nazajutrz po wyzwoleniu Wrocławia złożył wizytę pierwszemu mu prezydentowi miasta dr Bolesławowi Wroblewskiemu. Przedstawił ludzi dawnego Wrocławia, Polaków spod znaku Rodła i ofiarował polskiej władzy nie tylko słowa ale i ręce gotowe do pracy dla Polski Ludowej. Wraz z innymi wznosił z ruin zniszczone miasto. Wypełniał testament ojców. Należał do aktywnych członków Polskiego Związku Zachodniego i Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich. Imię jego nosi szkoła podstawowa nr 24 we Wrocławiu.

Przedwojenny krawiec rodem z Wielkopolski zmarł 14 lutego 1975 r. Był człowiekiem spod znaku Rodła. O nim to powiedział: „Rodło przypomina Nike z Samotnią. Jest czymś w rodzaju świętego ognia. Przypomina i jedno i drugie, ale było też wołaniem do tej Jedynej, ukochanej Ziemi. Było też i oczekiwaniem (...) był to dowód wiary i siły. W tych ciężkich czasach (hitlerowski terror dop. W.H.) znak ten podnosił nasze serca na wyżyny. Pozwalał żyć i niejedno przeżyć. Przenikał domy, ulice, kordony graniczne. Wciąż się odradzał”.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

DLA KOGO TEN KOROWÓD?

Ciąg dalszy ze str. 1

gą zaś kuleje (gdy robimy korowód z tego, co mamy). Brakuje lepszych pomysłów, więc sięga się, jak w tym roku, do mitów czeskich lub greckich. Można, czemu nie, wsławić Zeusa i Jowisza tego nie zabraniają. Pokazuje się więc opasłego Bachusa lub nieco chudego Dionizosa, wiodących za sobą po stacie wyjęte z książek i upozowane w sceny zrozumiałe tylko dla tych, którzy zetknęli się kiedyś z mitologią. Aby jednak nie odrywać się całkiem od rzeczywistości, tu i ówdzie wtyka się rymowanki. Wychodzą z tego rzeczy przedziwne. Bogini Diana, a może Artemis, przechwala się zamiarem ustrzelenia... cudzoziemca, a koń trojański narzeka: „nie dadzą się ludziśka spokojnie paść na błoniach, ciągle mnie ciągną i robią bliźnich w konia...” Prawda, że fałsz?

Może przysłowiowy koń by się uśmiechał, ale nie trojański, który, jak wiadomo był atropą, jest to prawda historyczna, więc nie mogli ani paść się na błoniach, ani szczyrzyć zębów w uśmiechu. Zresztą — czy można śmiać się z beznadziejności działań Syzyfa? Ale jeśli już Syzyf, to dlaczego nie było innych tragicznych postaci jak Niobe, Edyp, Antygona? Niech się lu dzie dosmucą, bo na co dzień jest im za wesoło... Reanimacja antycznych postaci raziła w tym roku sztucznością. Nie pomogły nowe, lśniąca szaty, nowe atropy i staranna scenografia. Jeśli coś rozśmieszało, to niedźnia dydaktyka tego ponurego pochodu.

Ostatni z rodu Tytanów, który po obdarowaniu ludzi częścią ognia wziętą z rydwanu Heliosa, obłaskawieniu dzikich zwierząt, nauczaniu człowieka pracy na roli i wskazaniu mu bogactw ziemi — przykuty został do skały, w zielonogórskim korowodzie wypowiada się następująco: „Co państwowe te go nie rusz, tak ci radzę, Prometeusz”.

Myszę, że skoro już zdecydowano się wziąć udręczonego Prometeusza na urodawkę zielonogórskie meki, sensowniej byłoby zawiesić mu w stosownym miejscu wstęgę z objawami marskości, a zamiast fraszki — straszliwej dać przestrożę bardzo aktualną w tym dniu i nie tylko w tym: „Człowieku, jeśli będziesz chlać wodę bez opamiętania, twoja wątroba stanie się podobna do wątroby Prometeusza, gdyż alkohol działa niczym nityczny sepi”.

A teraz poważnie. Pora zastanowić się nad dalszym losem korowodu wiozącego, gdyż jest kosztowny, a ma to warty. Może sięgnąć do tej pierwszej i pierwowodnej myśli i zbudować go w roku przyszłym nie na mitach i bajkach, lecz na — zabawnej, nawet groteskowej i przesłanowej — ale jednak afirmacji, akceptacji i uznaniu tego, co jest istotą życia, czyli — ludzkiej pracy?..

Nie lubimy żartować z siebie. Wolimy z innych, a najlepiej z kogoś, kto się nie obrazi... nie obroni. Stąd w korowodzie obecność sztywnych postaci mitycznych i bajkowych, rozmaitych elfów, czarownic, muchomorków, śnieżek, bez sensu i powiazania. Idą jacyś ludzie ustrojeni w nie wiadomo co, na wypakowanym samochodzie siedzi dziewczyna, która uosabia nie wiadomo kogo. Kawalek folkloru nie wiadomo skąd, może z Jugosławii, może ze Słowacji? Zadanej myśli spójnej, żadnego dowcipu.

Nawet „głowy” zamykające tegoroczny korowód, w zamysle śmieszne, karykaturalne podobizny osób powszechnie znanych, w rzeczywistości były tak no bliwie, że przypominały bardziej posmiertne maski, niż żywych ludzi...

Uważa się u nas, że czynnikami nobilitującym człowieka, jest powaga (co w pewnym sensie jest prawdą), natomiast wszelki żart uznany wielko-

ściom uwłacza i chwileje piedestałami, na których stoją. Tymczasem rzucmy okiem w szeroki świat. Zatrzymajmy się na historii. Iluż to ludzi naprawdę wielkich i sławnych lubiło i wręcz podtrzymywało publiczne żarty na temat swój i swej działalności?

Umówmy się, że korowód jest zabawą, powinien więc być wesoły. Robiony jest w określonym, co roku tym samym czasie, powinien więc mieć stosowne akcenty (jesieni, zbioru plonów, końca XX wieku itp.) Dzieje się w określonym miejscu: w mieście, które do Polski powróciło po wielu wiekach germanizacji 42 lata temu. Trzeba pamiętać, że lekcji historii i miłości Ojczyzny — nigdy zbyt wiele!

Jest wreszcie korowód wytchnieniem po pracy — niechże będzie z tą pracą związany. Nie musi być śmieszny do rozpuku. Niech tylko w lekki, humorystyczny sposób nawiązuje do naszych codziennych spraw.

„Przysłała baba do lekarza...” „Przy sobocie, po bobocie”, „Z czego się śmieją Maszalscy...” I tak dalej.

Do tego może parada lubuskich zespołów muzycznych? Dziecięce balety? Tancerze, soliści, bo i takich przecież mamy? Prezentacja osiągnięć klubów? Mrówki — symbolizujące Studencko-osiedlowy Dom Kultury „Mrowisko”? Ga zety i pisma z Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki? Latające dywany z „Novity”? Może trochę reklamy? Są przecież w Zielonej Górze i województwie firmy (choćby zagraniczne i polskie) które w zamian za efektywną reklamę w korowodzie, może synpłynby złotówkami...

Zabrakło w tegorocznym korowodzie radości, zabawy, humoru. Brakowało ich również w wielu poprzednich. Wydaje się, że trzeba coś przedsięwziąć dla ożywienia korowodu, który w swej obecnej postaci jest tworem nie tyle tradycyjnym, co przestarzałym.

Niech się zaktywizują rzemieślnicy, wytwórcy win, fabryka wódek, fabryka mebli. Spółdzielnie warzywniczo ogrodnicze zarządy ogródków działkowych, bo winobranie, to przecież swoje dożynki, święto plodów ziemi!

W każdym razie trzeba nakłuć ten nadęty, korowodowy balon.

HALINA AŃSKA

Nakaz czasu

Ciąg dalszy ze str. 1

Odpowiedz na pytanie o jutro ruchu regionalnego i powołanych przez niego instytucji, również „Nadodrza”, nie jest proste. Od tamtego ożywienia w kulturze, którego efekty nawet dziś trudno przecenić, minęły trzy „ery polityczne”, urodzone wtedy pokolenie prowadzi swoje dzieci do szkoły. Telewizor, wówczas nieobecny w naszym życiu, znalazł się w każdej rodzinie. Pojawili się nowe środki przekazu. Wkrótce do naszych domów wejdzie, trudna jeszcze do wyobrażenia, telewizja satelitarna. Niedługo na łamach „Nadodrza” witałmy każdego lubuskiego doktora. Dzisiaj co najwyżej odnotowujemy, równie z satysfakcją, nominacje profesor skie. O awansie regionu, którego „Nadodrza” było i efektem, i współsprawcą, dowodzi również i to, że obecnie w Zielonej Górze mieszka i pracuje więcej profesorów niż na początku lat sześćdziesiątych magistrów. Równocześnie inaczej dziś niż dawniej uклада się hierarchia wartości, która przecież decyduje o postawach społecznych, o kondycji kulturalnej społeczeństwa. Niedawno w gronie ludzi wykształconych, o pewnym prestiżu, usłyszałem zdanie: „Nie powinniśmy się cieszyć z dyplomu i tytułów, tylko wstydić, że nie posiadamy pieniędzy. Stąd ci niektórzy przysłowiowi docenili sprzedający piekarnik lub zamiatający ulicę nie naszych miast. W społeczeństwie także o takich postawach trudno eksponować sylwetki bezinteresownych społeczników oddających wiedzę i pracę, nie zawsze za dyplom uznania, ogółowi.

Ruch regionalny poprzez wartości, które tworzy i upowszechnia, mimo sytuacji, która mu nie sprzyja. Jest, wbrew nazwie, ruchem uniwersalnym. Pielęgnuje i wzbogaca on to, co czołowi wieloletni powinni być najbliższe, co znajduje się codziennie w zasięgu jego wzroku i ręki. Lepiej i piękniej może być wszędzie tam, gdzie żyjemy, ale to przecież w dużej mierze także od nas zależy.

Świat coraz bardziej się uniformuje, to jest również proces nieunikniony. Równocześnie narodziły się, regiony, wsie dążą do zachowania swojej niepodległości, odrębności, specyfiki na własną skalę i miarę. Są to jakby stru-

myki wobec wielkich rzek, ale są. I one są szansą dla działalności regionalnej, która przecież zależy jak uczy trzydzie-

stoletnie doświadczenie, od postaw niewielkich grup społecznych. „Badania socjologiczne potwierdzają potężną obserwację — czytamy w nie zwykłe interesującym, także dla naszych rozważań, raporcie Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Nauk Politycznych — że ludzie postępują rozwój aktywności i samorządności (demokracji) ale w większości odmawiają swego osobistego zaangażowania i uczestnictwa. Tego rodzaju postawa — przypuszczają autorzy raportu — może być dość powszechna jeszcze przez najbliższe lata”. Ważna to uwaga.

Komentując ten raport na łamach „Trybuny Ludu” prof. Longin Pastusiak postuluje konieczność „stworzenia modelu polskiego działacza lokalnego, który zabiega o interesy swego regionu”. Nauka zawsze dąży do syntezy i uogólnień. Nie bardzo sobie wyobrażam taki pasujący do każdego miejsca i czasu wszechwystępujący model działacza regionalnego, ale projekt zastanowienia się nad sylwetkami ludzi społecznie nieobojętnych, lokalnych działaczy, także kultury, wydaje się niezwykle istotny.

Ruchowi regionalnemu potrzebny jest dziś twórczy, mądry ferment, jaki towarzyszył jego odrodzeniu przed trzydziestu laty. Ferment, z którego ostałby się program, także dla „Nadodrza”, wyznaczający obywatelskiej działalności miejsce w dzisiejszym i jutrzejszym życiu kulturalnym. Fermentu, rzecz jasna, nie można zaplanować, jak nie można spowodować burzy, która odświeża przyrodę. Czy jest obecnie szansa na taki odświeżający ferment? Nie wiem. Wiadomo jednak, i tego nie trzeba udawać, że możliwości ruchu regionalnego będą minimalne, jeśli on nie odnowi się, jeśli jego trzydziestoletni form, zwyczajów, rytuału nie rozbiją przedstawiciele pokolenia, które teraz wkracza do życia zawodowego, i nie wnosi nowych skalających impulsów. Bez nowych, rzutkich działaczy, których modelowe sylwetki pragnie naszkicować zarządstwo politologów, ruch ten istniał będzie coraz bardziej na papierze.

„Świat nie jest — pisał poeta — świat się wiecznie zaczyna”. A zaczyna jest przede wszystkim młodość.

JANUSZ KONIUSZ

ŻONA POTRZEBNA OD ZARAZ

Danuta Mystkowska

Kornel K. wyciąga z szafy nabyty garnitur. Szafa jest stara, przesiąknięta wilgocią, to i garnitur nie pachnie świeżością. Trzeba wietrzyć. Kilka dni. Pokój Kornela K. zamienia się w suszarnię. Wzdłuż łóżka rozciągnięty sznurek, na nim spodnie i marynarka. Dochodzą do siebie. Ten ni by nowy garnitur Kornel K. wkłada na specjalne okazje. Są nimi spotkania z kobietami. Było ich kilkadziesiąt. Wszy skłębiamy — nieudane. Ale Kornel K. wierzy. Ma nadzieję, że w końcu znajdzie się TA JEDYNA KTÓRA PODZIELI Z NIM SVOJE ŻYCIE.

Z Magdalena wymienił kilka listów. Ona — wdowa, wykształcona, z ładnym mieszkaniem i również jak Kornel samotna. Spotkali się w maju. On wiozł nabyty garnitur, kupił kwiaty i pojechał do Poznania. Rozmowa była krótka. W kilka dni później Kornel K. otrzymał od Marii list:

„Przykro mi, że muszę Pana rozczarować i napisać prawdę. Otóż proszę do mnie nigdy nie pisać, ani nie przyjeżdżać. Pan nie jest w moim typie (...) Dobrze, że spotkał się szybko. Chcę, żeby list zakończył naszą znajomość: Może jest Pan dobrym człowiekiem, ale nie dla mnie. Zwracam Panu zdjęcie i życzę wszystkiego najlepszego”.

Kobiety nie szanują artystów, bo artysty nie mają pieniędzy, a kobiety za pieniądze szaleją. Za ka chudrą poleca, byleby miał gruby portfel. A u artysty czasami portfela nie ma w ogóle. Bo i po co? Te drobne zmieszczą się w kieszeni. Bywa, że kieszeń jest dziurawa. Wtedy artysta chodzi głodny. No i której babie potrzebny taki mężczyzna?

Nad tym właśnie często duma Kornel K. Bo Kornel K. jest artystą. Malarzem i kaskadistą. Anatemem.

Szkół wyższych nie skończył, ale — jak mawiają wtajemniczeni — niejednemu fachowca w róg akwarel zapędził. Bo Kornel K. dzierga akwarelami. Od trzydziestu dziewięciu lat. A zaczął z nudów. Na stacji kolejowej Wygnań- czyce, nieopodal Wschowy. Roboty było tam niewiele, czasu mnóstwo... Wyciągnął więc z kieszeni pocztówkę: ratusz poznański. Z zeszytu wyrwał kartkę, włożył ołówek. No i tak to się zaczęło.

Rysunek spodobał się Pawłakowi, koledze z ławy szkolnej. I potem już na zamówienie Kornel K. namalował pierwszy w życiu obraz. A potem następny... No a jeszcze później doszły indywidualne wystawy, bo dorobek artysty miał spory. Obrazy Kornela K. podziwiała więc Warszawa, Poznań, Wrocław, Lesz- no, Zielona Góra, a nawet Frankfurt i Cottbus. Tam też Kornel K. sprzedał po raz pierwszy swoje prace: za 50 i 120 marek.

Architektura i pejzaże. To ulubione tematy Kornela K. Na ścianie w ramce wisi Notre Dame, rok 1950. Nie, Kornel K. nigdy nie był w Paryżu. Katedrę odmalował z pocztówki, jak zresztą większość swoich obrazów. Wszystkie, posęgregowane, trzyma teraz w szafie. Tylko ten Paryż, obok portretu matki, powiesił na frontowej ścianie.

— Ech, straciłem młodość. Studia mog- lem skończyć, prawdziwym artystą zo- stać, poszanowanie mieć. Profesor Bu- dziewicz mówił: najpierw matura, po- tem uczelnia. A mnie gdzie w głowie nauka była. Osiem klas ledwie skończy-

łem, kiedy wybuchła wojna. A potem to już było za późno. No i żonę mogłem sobie wybrać. Ale marudziłem, przebie- rałem, odrzucałem... No i teraz mam za- swoje. Na starość nie chce mnie żadna. A przecież różni ludzie mają takie ład- ne żony...

Kornel K. przygotowuje wystawę swego życia. Za rok w Poznaniu. Ale artystę nie dzisiaj nie cieszy. Malowanie też straciło sens, bo i dla ko- go wydierać trzewia? Samotność tak bardzo dokucza. Żadnego porozumienia, z nikim. Tylko te cztery ściany.

Wymagania Kornel K. ma skromne. Żona nie musi być ładna, byleby nie była zbyt niska i zbyt otyła. Powinna mieć lat 46, oszczędność i gospodarność we krwi. No i musi być — dodaje Kor- nel K. — seksualna. Tak. Seksualna. I nie ma co się dziwić. Kornel K. ma 57 lat. I seks dla artysty jest tak samo wa- żny jak akwarela.

Na kartce papieru Kornel K. wypisu- je swoje miłości: rok 1959 — pierwsza z Lubsku, 1963 — w Elblągu, 1964 — Teresa z Lublina, 1965 — Stefania z Zie- lonej Góry, 1970 — Agnieszka B. także z Zielonej Góry, 1971 Grazyna z Lub- ska. Od 1973 do 1980 — żona, 1982 — Kasia K. z Gorzowa.

— Moje małżeństwo? W ogóle o tym nie wspominam. To przypadek. Wie pa- ni, ona — sprzątaczką, nie rozumiała duszy artysty. Potem urodziła Grzego- rza. Ale to nie mój syn, tylko takiego jednego. Też z Gubina. Wtedy wystąpi- lem o rozwód.

No i zacząłem od poszukiwań nowej żony. Nie musi być od razu ślub. Przy- jaciółka jest mi potrzebna. Do towarzy- stwa. No, a potem to się zobaczy. Bo wie pani, były i takie, co chciały zaraz się żenić. Nie ze mną, ale z moim miesz- kaniem. Wyrzuciłem je. Pospolite ko- biety.

Kornel K. zamieszcza ogłoszenie: na- wiążę znajomość. Cel matrymonialny... Tych ogłoszeń było już kilkadziesiąt. Kobiety piszą. A jakże. Kilka dni temu przyszedł list z T.

„Jestem średniego wzrostu, mam 160 cm, i ważę 65 kg. Jestem szczerą i wy- rozumiałą, lubię prawdę. Brak mi ko- goś, z kim mogłabym o wszystkim po- rozmawiać, zaufać i powierzyć swoje problemy (...) Jestem wdową od pięciu lat. Do tej pory nie szukałam żadnego partnera. Nie interesuje mnie uroda mężczyzny, ale dobry charakter, bo to jest najważniejsze. No i nienawidzę pi- jaków (...)”

Przeczytałam w gazecie i z głupoty napisałam. Może akurat na dobre wy- dzie. (...) Czuje się bardzo samotna. Wie- rzę, że moje życie wreszcie się odmie- ni. O ile ma pan życzenie, moglibyśmy się spotkać, najlepiej w kawiarni. Posta- ram się być z moją dwunastoletnią córką (...) Wysłałam zdjęcie. Tak w rzeczy- wiściwości wyglądam”.

Franciszka Z. Kornel K. odpisał z grzeczności. Fran- ciszka Z. nie jest w jego typie. No i w dodatku wdowa po mężu-pijaku.

— Pewnie córceka pójdzie w ojcow- skie ślady.

Nie, zbyt duże ryzyko. A Kornel K. chce mieć trochę spokoju. Zresztą: nie może zapomnieć o Krystynie. To była kobieta! Wysoka, blondynka w dodatku inteligentna. Z nią to i o malarstwie można było porozmawiać i o polityce.

Ala Krystyna odrzuciła Kornela i po trzech miesiącach ożamiała. Nie jest tem wojna i napisała:

„Kochany Przyjacielu (...) Możesz so- bie wyobrazić co by było, gdyby on wie- dział, że piszę do ciebie listy. Na pewno na jego miejscu byłbyś zazdrosny. Kor- nel, niepotrzebnie przysłałeś mi zna- czek jeszcze na tyle mnie stać. (...) Nie denerwuj się, jeśli w ciągu miesiąca nie otrzymasz listu. gdyż naprawdę muszę pisać do ciebie ukradkiem”.

O Kornela K. kobiety odchodzą. Po jednym spotkaniu oznajmia- ją: pan nie jest w moim typie. To boli. Bardzo. Bo czyż kaleki nie ma prawa do szczęścia? A Kornel K. nie słyszy. Od 1937 roku. Miał osiem lat, gdy zachorował na szkarlatynę. Wtedy właśnie stracił słuch. A potem mowę.

Dzisiaj Kornel K. nie rozpacza z po- wodu owego nieszczęścia. Potrafi na- wet żartować:

— Niech pani pisze o wszystkim. O moich kochankach również, oddaje kart- kę z zapisanymi refleksjami. Bo z Kor- nelem K. porozumiewać się można za pomocą zeszytu i długopisu.

Rozmowa poprzez papier.

— Czy mam jakieś wady? Hm... Za- biedny jestem i głuchy. I do tego za- stary i jeszcze mam krzywe pięcy... Wódki ani wina nie piję, kobiety nig- dy nie uderzyłem. Jak mogłem — po- magalem innym, a szczególnie swemu ojcu... No... nie wiem, jakie mam jesz- cze wady. Chcę mieć przyjaciela-kobie- tę. Żeby przyszła do mnie, pogadala, bo taki jestem samotny. Właściwie to już straciłem nadzieję. Nie bardzo wierzę, że znajdzie... Wszystko jest dobrze, kie- dy pisujemy do siebie listy. A potem przychodzi spotkanie. I koniec. Odcho- dzą.

Kornel K. napisał do redakcji.

„Nie mam szczęścia w życiu, choć- biuro ogłoszeń może powiedzieć, ile za- robiło na moich ogłoszeniach. W ciągu sześciu lat nie znalazła się żadna odpo- wiednia kobieta, co by mnie zrozumia- ła i doceniła moją pracę i mi trochę pomogła. Zamiast tego spotykały mnie stałe odmowy, szczególnie po wyjawie- niu że nie słyszę, zaś Polski Związek- Głuchych w Zielonej Górze wcale mi- się o taką osobę nie postarał...”

Należy ostrzec przed sumieniem zielono- górzanek! Żeby dożyć mojej wystawy w Poznaniu, muszę mieć kogoś przy- sobie nie tylko od święta, ale i od po- trzeby (...)

Z Zieloną Górą związany jestem od 1952 r. Tu zdałem egzaminy czela- dnicze na krawiectwo, tu miałem w ro- ku 1956 pierwszą wystawę i zdobyłem pierwszą w życiu nagrodę z rąk Kle- ma Felchnerowskiego, który był moim pierwszym konsultantem. Poznał mnie z nim pisarz Tadeusz Jasiński, gdy pra- cowałem w Zbąszynku u kolejarzy.

Obecnie jestem na rencie. Samotność jest okropna i trudna do zniesienia. Tymczasem wśród kobiet panuje znie- czulica. One wolą bardziej zdrowego chuligana niż sążniowca z głuchym artystą. (...) Onę są wszędzie takie sa- me, zarówno w Gubinie jak i w Zie- lonej Górze”.

lanta M., panna z trójgiem dzieci i czwartym dzieckiem „w drodze”, pobita, a potem udusiła Annę A., aby zra- bować jej złotą obrączkę i kilkanaście tysięcy złotych.

Czym napastnicy grożą? W Ślupsku Mirosław S. i Ry- szard R. przystawili Józefowi Ł. noż kuchenny do szyi i w ten sposób wymusili od niego sto tysięcy zł... W Gdań- sku Roman S. napadł na Krystynę Ł. i zażądał pienię- dzy, celując w kobietę pistoletem-straszakiem...

Dwa przykłady z dziedziny oświaty i wychowania. W Skierniewicach na wycieczce szkolnej, uczeń technikum Ryszard R. po pijanemu zgwałcił pijaną koleżankę, za- brał jej zegarek, pierścionek oraz 6,5 tysiąca zł, po czym „odstąpił” ją innym kolegom, także pijanym... W Goni- dzu Emil O. nauczyciel w Państwowym Ośrodku Wychowawczym pękem kluczy wybił zęby wychowankowi Mi- rosławowi Ch, za to, że ten poszedł do w.c. bez pozwole- nia...

Ostatnie taktę w dyskotekę, ostatnia kropka w butelce i co dalej, gdy młodość chce się wyszumieć? W Lublinie kilkunastoletni chuligan napadł na stojącą przed do- mem chorego karetkę pogotowia ratunkowego, podeptał maskę samochodu, wyłamał antenę radiotelefonu, ober- wali wycieraczkę, stukli lusterka i uciekli...

Dwa kwiatki z pocztowej laski. W Strzyżewicach Ma- rek T. i Ryszard G., stanowiący ekipę ambulansu poc- towego z Lublina, podczas rozwożenia pieniędzy w tere- nie, upili się i zasnęli w restauracji, a gdy obudzili ich milicjanci, wyciągnęli pistolety i przyłożyli mu do twa- rzy... W Zbąszynku Henryk N. wraz z pięcioma kolegami, wszyscy zajmujący odpowiedzialne stanowiska na pocie- cie, od czterech lat systematycznie okradali paczki i li- sty nadchodzące z zagranicy...

Kto tego lata nie zdążył zatruć się salmonellą, gronko- wcem lub grzybami, ten może jeszcze leżeć na niektórych fabryki wytwarzające żywność. W Pabianicach Zakłady Przetwórstwa Zbożowego wyprodukowały kaszę mąnną, którą zapakowały do worków po proszku do prania... Cu- krownia z Łap wysłała na rynek cukier zaprawiony czę- stkami sztucznych nawozów... W Gdańsku mleczarnia wy- stawiła w kioskach serki z wkładką w postaci... robaków.

Te czarna listę sporządzałam cytując prasę podczas po- dżoży autobusem PKS. Kiedy udało mi się szczęśliwie do- jeżdżać do celu, zastanowiłam się nad stwierdzeniem ty- godnika „Nad Wartą”, że „Polska leży nie na Antark- tydzie, ale w środku cywilizowanej Europy”.

Szkoda, że ten cywilizowany środkowo-Europejski w swym zachowaniu i stosunku do współmieszkańców, nie bierze przykładu z zamieszkujących Antarktydę lampar- tów morskich, fok i pingwinów...

HALINA AŃSKA



Urodziwo — Sigrd Siewior i Złotnik — Roman Garbowski w „Falszowym Baskijczyku”.

Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ



PRZEKĄSKI MISTRZA CERVANTESA

Zasiadam do pisania *con cumplimien- tes* dla wykonawców przedstawienia, które miałem przyjemność obejrzeć, o- raz dla osób, które je przygotowały. Te- atr im. Leona Kruczkowskiego w Zie- lonej Górze, rozpoczynający trzeci sezo- n pod panowaniem dyrektorskiego duetu w składzie: Marek Górski — szef naczel- ny i Krzysztof Rotnicki — szef artysty- czny, na dobry początek przygotował hiszpański tercet, złożony z jednakowych w miejscu, czasie i nastroju mini-kome- dyjek. Napisał te komedijki sławny oj- ciec nie mniej sławnego Don Kichota z La Mancha, żołnierz, awanturnik i li- terat w jednej osobie — Miguel de Cer- vantes Saavedra, a uczynił to w nie- zwykłe barwnym i płodnym okresie swe- go życia, na przełomie XVI i XVII wie- ku.

Okazuje się, zresztą nie po raz pierw- szy, że stare komedie smakują niekie- dy jak stare wino. Flaszka, kielich i re- ceptura dawno przestały być nawet wczorajsze, a trunki w dalszym ciągu ma przedni smak. Stąd też, trzy wieko- we intermedia: „Pieczara Salamanki”, „Falszowy Baskijczyk” i „Stary za- zdrośnik”, zrobione na zielonogórskiej scenie z precyzją i starannością, bawią i rozśmieszają. Akcja dzieje się wokół spraw damsko-męskich i opowiedziana jest zwięzłym językiem scenicznym. Wy- strój sceny jest tak pomyślany, że dzie- ła na wyobraźnię widza, który poznaje równocześnie wnętrze żałoźnego, hisz- pańskiego mieszkanka, oraz typową, pe- łą kamieniczkę uliczkę w Madrycie, Se- willi, a może w Barcelonie...

Choć akcja poszczególnych utworów- sceniczných jest krótka, aktorzy mają tu dużo do wygrania, zwłaszcza, że ro- le dobrane są trafnie. Panie, w niezwykle- twarzowych strojach, poza młodością, u- rodą i wdziękiem, mogą popisać się u- miennościami aktorskimi i czynią to z powodzeniem. Sigrd Siewior, zabawna w roli żony starego zazdrośnika stęsknio- nej za prawdziwym życiem, po jednej- randce z młodym, dziarskim amantem, świetnie przeistacza się w pełnokrwistą

kobietę, szczęśliwą, że poznała wreszcie- rozkosze miłości. Tatiana Kolodziejska (nowy i dobry nabytek naszego teatru) zreżna, sprytna i przekonująca w różnorodnych scenkach, jakie przyszło jej rozgrywać. Małgorzata Wower, jed- na, zalotna i kobieca, pozwala widzom- zapamiętać, że była tragiczną Antygona. Danuta Ambroz jako rajfurząca sąsiad- ka Ortigosa, panuje nad rolą.

Scena pełna jest, jak to u Cervante- sa, postaci komicznych, trochę dziwacz- nych i cudacznych, ale dających aktoro- wi możność tworzenia w przedstawie- niu własnych, mądrych przedstawień. Tak właśnie Leszek Polessa robi ma- ły, arcybawny teatrzyk, w momencie, gdy jako stary, zazdrosny mąż, popchnięty przez Ortigosa, upada, a następnie usiłuje podnieść z podłogi kolejno wszy- stkie swoje członki... Obaj ze Zdzisła- wem Grudniem tworzą ciepłą i sympa- tyczną postacie starych mężów zazdro- snych o miłość żony, ale fajtlapów.

Scenki przedstawiające przyprawia- nie mężom rogów, są naprawdę śmiesz- ne, a duży w tym udział bohatera wszy- stkich trzech intermedii, wszech-aman- ta Sławomira Krzywińskiego, aktora u- zdolnionego i utanczzonego, którego widownia lubi od pierwszej chwili. Okla- ski zbiera Henryk Tomczyk, najpierw jako żądny ziemskich uciech zakrystian Reponczusz, a następnie jako don Solo- rzano, wywodzący w pole urodziwą, lecz pozbawioną przebiegłości donię Krystynę (S. Siewior). Grono wykonaw- ców uzupełniają Roman Garbowski, ko- lejno w rolach Cyrulika i Złotnika o- raz Józef Michałowicz z halabardą.

Przedstawienie ma trzy główne cechy: dobre tempo, starannie opracowany- ruch oraz troskliwie potraktowane szczegóły. Całość, choć przegrodzona- przerwami, ogląda się jednym tchem, a jest to zasługa reżysera Jowity Pie- fikiewicz, choreografa Juliusza Stańdy i scenografa Teresy Darochy, tudzież An- drzeja Tuchowskiego, który rzecz opra- cował muzycznie. Wymienić należy tak- że autorkę zgrabnego przekładu: jest- nią Zofia Słayen, oraz osoby, których- dziełem są piękne kostiumy i kunsztow- ne fryzury (Zofia Feliksiak, Józef Pod- rzycki, Emilia Daniel) oraz światło i a- kustyka (Janusz Wiśniewski, Franciszek Tomczak).

Takie drobne, sceniczne pokazywane- były ongiś na proscenium, przed przed- stawianiami lub między aktami. Szczę- śliwi widzowie tamtych czasów! Jeśli- nawet komuś nie podobał się główny- spektakl, zawsze mógł liczyć na smacz- ny kasek podczas przerwy. Właśnie — kasek, zakaskę, przekaskę, gdyż takie- jest znaczenie hiszpańskiego słowa *ent- remes*, którym te intermedia nazywa- no. A więc teatr w Zielonej Górze na- swej małej scenie (duża w remoncie!) zaferował publiczności półmisek smacz- ny i wykwintny, co stwierdzam, rozcie- rając ze czcią ciału, na której się siedzi (ach, te twarde ławy!) —

DYŻURNY RECENZENT

Teatr im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze Miguel de Cervantes Saavedra „Teatr cudów” (intermedia) Reżyseria: Jowita Piefikiewicz. Scenografia: Teresa Darocha. Ruch sceniczny: Juliusz Stańda. Muzyka i opracowanie muzyczne: Andrzej Tuchowski. Premiera 12 września 1987 r.



Pingwiny i my

Dwie ulice dalej, piętro wyżej, w sąsiedniej klatce scho- dowej, w bramie naprzeciwko, czasem tuż za ścianą, dzie- ją się dramaty.

W Toruniu dwaj kilkunastoletni bracia Jacek i Woj- tek młotkiem i nożem kuchennym zamordowali ojca pi- jaka, za to, że ten zgwałcił ich siostrę i znęcał się nad matką...

W Katowicach pijany Tadeusz W. w obecności rodzi- ców, którzy nie reagowali, zamordował kochankę Iwonę B. i porabiał jej ciało siekierą... Także w Katowicach Halina M. nożem kuchennym zabiła kochankę...

Krew pojawia się zazwyczaj tam, gdzie w grę wcho- dzą alkohol, miłość, pieniądze. I nie tylko, bo w Często- chowie Włodzimierz K. zamordował sąsiadkę Zofię D., z którą rywalizował o przydział kwaterek mieszka- nia...

Kryminalistyka zna wiele dzieciobójczyń, od słynnej Gorgonowej poczynając. W Płocku 23-letnia Gabriela B. mężatka, matka dwojga dzieci w wieku 2 i 4 lat, po uro- dzeniu trzeciego dziecka wrzuciła je do muszli klozeto- wej, gdzie zmarło...

Co sprawia, że ludzie pozbawiają się sami życia? W Pasiece koło Chełma 38-letni Piotr K. powiesił się po- klótni z rodziną... W Łudwinowie również koło Chełma, Marian S., lat 38, ojciec dwojga dzieci, w przypływie zde- nerwowania popełnił samobójstwo, wbijając sobie w klat- kę piersiową krawieckie nożyce.

Milicja ostrzega: wzmocnić zamki, nie otwierać drzwi- nieznajomym! Ofiarami napadów w mieszkaniach bywa- ją przeważnie ludzie samotni, słabi, w starszym wieku. W Gdańsku została napadnięta, pobita i uduszona matka- znachora lekarka Maria K., z której mieszkania sprawy- zbrodni — Henryk P. i Stanisław T., zrabowali biżute- rię i dewizy wartości pięciu milionów zł... W Sieradzu Jo-

Helmut Preissler

gdzie wiatry do snu się kładą
i słońce w zieleni drzew młodych się chłodzi
gdzie gwiazdy o zmierzchu nabierają blasku
cisza nocy rozbudza
życie minionych godzin
gwiazdy żar rozpala
minionego dnia
rośnie dudnienie traw
w krwi mojej

Nieogarnięty jak letnia noc
dzięki tobie rozpięty trwam
między trawami a gwiazdami

Przekład: Romuald Szura

WIERSE PISANE ZA ODRĄ

— Jak zwykle siedzę nad liryką i prozę poetycką. Nieraz powstaje wiersz, nieraz tekst piosenki, liryki albo po lemicznie, delikatnie, lub agresywnie — wyznaje Helmut Preissler na łamach czasopisma „Sonntag”. — To zależy od inspiracji i zamysłu twórczego. Z tych dwóch pojęć ważniejszy jest zamysł. Jako liryk zabiegam o przyjęcie poetyckiego słowa, a także o... odwołanie do wymiaru poglądów na poezję, by to ten sposób bronił jej skutecznie i uzmocnił to wszystko, co wydaje mi się sprawiedliwe, piękne, co pomaga ludziom docierać do istoty rzeczy.

Helmut Preissler należy do poetów średniego pokolenia, którzy reprezentują tzw. obywatelski nurt twórczości NRD poświęcając talent i czas wójtowskim problemom swego kraju. Mieszka we Frankfurcie nad Odrą i jest na szym dobrym znajomym, ponieważ do dziś utrzymuje kontakty z lubuskim środowiskiem literackim i nieraz odwiedza Polskę.

Helmut Preissler urodził się w roku 1925 w Cottbus. Po wojnie pracował jako nauczyciel, a potem przez dwa lata studiował w Instytucie Literackim imienia Bechera w Lipsku. Ale zanim na stałe zajął się twórczością literacką, próbował także innych zawodów — był pracownikiem kultury w kombinacie hutniczym, redaktorem literackiego czasopisma. Aktualnie jest członkiem Zarządu Głównego „Sonntag” NRD i kierownikiem redakcyjnym czasopisma „Neue Deutsche Literatur”, wydawanego w Berlinie.

W latach 1965-75 pisarze lubuscy konfrontowali się często z Helmutem Preisslerem i jego kolegami po piórze we Frankfurcie. Byli to spotkania dyskusyjne, dotyczące warsztatu literackiego, aktualnych tendencji we współczesnych literaturach Polski i NRD, itp. Nie brakowało także autorskich spotkań z czytelnikami o obu stronach Odry. Istniał nawet — zrodzony z tej współpracy — zamiar wydania we Frankfurcie nad Odrą zbioru wierszy lubuskich poetów w języku niemieckim, pt. „Auf den Ma: chen zu” (Ciepłemu naprzeciw). Mimo, że tomik ten wkrótce był gotowy, z przyczyn pozartystycznych, nie ujrzał światła dziennego. Natomiast w listopadzie 1973 roku, na łamach gazety „Neuer Tag”, ukazały się wiersze min. Ireny Dowgiewicza, Janusza Kontusza, Zdzisława Morawskiego, Bolesława Solińskiego, Henryka Szyłkina i Andrzeja Waskiewicza, ze wspomnianego zbioru, uzupełnione przyjaznym słowem wstępnym Helmuta Preisslera. Tyle historycznej już refleksji.

Na dorobek Helmuta Preisslera — utalentowanego liryka i po trosze prozaika, — chociaż jako prozaik nie posługuje się ściśle epicką formą — składają się tomiki wierszy (jest ich kilkanaście) słuchowiska radiowe i widowiska sceniczne. Jest Helmut Preissler także redaktorem wielu antologii wierszy dla dzieci i tłumaczem literatury z języka rosyjskiego. Z zainteresowaniem przeglądałem jego tomiki. Niestety, niewiele zawartych w nich wierszy zostało przetłumaczonych na język polski. W Polsce nazwisko poety znane jest przede wszystkim dzięki utworom pomieszczonym w antologiach poezji NRD „Dopowiedzenie światu” (1969) i „Przybliżenia” (1978), wydanych przez Wydawnictwo Poznańskie, a także — drukowanych ostatnio na naszych łamach, w przekładzie Zdzisława Morawskiego.

Niedawno odwiedziłem Helmuta Preisslera w jego mieszkaniu we Frank-

furcie, gdzie wśród książek prowadzi-
liśmy długie rozmowy.

— Mam wielu ulubionych pisarzy — powiedział poeta. — Zaczęło się od Les-
singa, Heinego, których bardzo lubię,
poprzez Hördelina — aż do Brechta. Do
tej kolekcji doszli pisarze zagraniczni,
których nazwisk w ogóle przedtem nie
znałem, a w tej chwili mój domowy
zbiór liczy już setki nazwisk ulubionych
pisarzy, którzy wyrażają określone praw-
dy, poglądy, przeżycia.

A zacząłem podobnie jak wielu in-
nych debiutantów drobnym wierszy-
kiem miłosnym. Tak już jest, że liry-
cy piszą najpewniej o sprawach, których
w ogóle nie znają. A kiedy po roku
45-tym próbowałem dokonać obrachun-
ku z samym sobą, z rzeczywistością,
którą przeżyłem i z czasami, w któ-
rych wypadło mi żyć, miałem to szczę-
ście, że udało mi się wydrukować kilka
wierszy, które zwróciły uwagę kryty-
ków i czytelników. I tak się zaczęło.
Zainteresowali się mną uznani już wówczas
twórcy i wrócić trafiłem do In-
stitutu Literackiego w Lipsku. Nauczy-
łem się tam wiele, może nie samego pi-
sania bo tego nie można się nauczyć,
ale jak pojmować sztukę, jak na nią
patrzeć i przyswajać jak wyznosić z te-
go odpowiednie nauki. Jeżeli się wie,
gdzie jest ukryte prawdziwe piękno,
łatwiej samemu tworzyć.

Helmut Preissler jest bardzo pracow-
itym twórcą, współpracuje z czasopi-
smami, z radiem i teatrem. W teatrze
Kleista we Frankfurcie — przy współ-
udziale kompozytora Güntera Reinecke-
ra — wystawił rewie zatytułowaną
„Będą z nich ludzie”, w której ukazu-
je w sposób barwny i dowcipny losy
pewnej rodziny niemieckiej od roku
1905 aż po współczesne nam czasy. Do-
konał też wyboru i wydał min. w od-
świeżonej formie rymowane opowies-
ki i pieśni dla dzieci ze słynnego zbio-
ru „Des Knaben Wunderhorn” (Cudow-
ny róg chłopca) romantyków Achima
von Arnima i Clemensa Brentano, któ-
ry zawierał niegdyś kilkaset starych nie-
mieckich pieśni ludowych i zbiór wierszy-
ków dla dzieci różnych autorów
współczesnych z ostatnich dwudziestu
lat zatytułowany „Das Windrad” („Wia-
traczek”).

Od wielu też lat Helmut Preissler
związany jest z klubem piszących ro-
botników, udzielając im fachowej po-
mocy.

Na zakończenie naszej rozmowy po-
wiedział: — Poznaję w ten sposób lu-
dzi zatrudnionych w zakładzie, czytając
ich teksty wkraczam w ich codzienne
zajęcia, w świat rzeczywisty i w
świat ich wyobrażeń. A ponieważ są to
ludzie, z różnych środowisk, posiadają-
cy różny stopień wykształcenia, dowi-
duję się wielu ciekawych rzeczy, zbie-
ram rozmaite doświadczenia, które w
innej sytuacji osiągałbym z dużym tru-
dem. W zamian za to służę im moją
fachową pomocą, odświeżam tajemki war-
sztatu literackiego, a przy okazji od-
świeżam własną wiedzę. Przed spot-
kaniem z członkami klubu muszę prze-
rzeć niejedną literaturę, przypomnieć
sobie pewne zasady teoretyczne. Jest
to dla mnie korzystne, ponieważ człowiek
uczy się najskuteczniej wtedy,
kiedy zostanie do tego zmuszony.

ROMUALD SZURA

Redaktorzy prowincjonalnego pisma specjalizującego się w publikowaniu przyjemnych wiadomości skreślili, nie pytając mnie nawet o zgodę, fragment mojego opowiadania, a gdy zaprotestowałem przeciwko temu, duma-
gali się, żebym zgodził się na skreślenie jednego zdania: „Nie trzeba było komór gazowych”. To dla mojego do-
bra, poinformowali mnie tonem głosu charakterystycznym dla ludzi, których nawyków nie zmienia żadna przebudowa. Zainteresowałem się, jakie niebezpieczeństwo mi grozi. Odpowiedzieli, że chodzi o dobro opowiadania, o jego wymowę artystyczną. Zauważyłem spokojnie, że to nie-
prawda. Oczywiście nie liczyli się ze mną. Machnąłem ręką, co tam będą ludzie uczyli pisać opowiadania. Ale
potem pomyślałem, że to nie jest w porządku, i wycofa-
łem opowiadanie. Przede wszystkim żał mi było bohatera
mojego opowiadania, który ma osiemdziesiąt dwa lata,
i czasem widzi oczyma pamięci dwoje dzieci, którym
uradował życie w czasie wojny. Wycofałem opowiadanie,
które nie mogło zostać wydrukowane, ponieważ nie chcia-
łem się zgodzić na jego śmierć. Patrząc na opowiada-
nie żyjące swoim własnym życiem. Wiedziałem, że opo-
wiadaniami nie sprzedaje się srebrniki. Opowiadanie u-
śmiechało się do mnie. Opowiadanie miało w oczach try-
Opowiadanie, którego miało nie być na mapie świata. Czy-
telnicy, którzy czytają to opowiadanie, powinni wiedzieć, że
ryzykują utratą stanowiska. Można zwątpić w swoją prze-

moich oczu, krzyczy dziewczyna. A więc wszędzie, w ka-
dej chwili odbywa się Sąd Ostateczny. Patrząc na
was z pozycji ostateczności. A wy byliście podli, mali, za-
wistni, kalecy, śmiešní, gdyż pogodziście się z tym, że
wokół was człowiek niszczy człowieka i wtedy dopad-
liście mnie. Czy widzieliście. Ten krzyk. Stara kobieta sku-
lona na dworcu kolejowym. Pocałunki, słowa zwykłe w
przestrzeni międzyplanetarnej między tobą a mną. To
twoje listy sprzedano na aukcji w salonie Sotheby. Two-
je poruszenia. Pokoje jakieś. Opowiadanie pisze do cie-
bie list. Rozmawia z tobą gdzieś na drodze, na ulicy. A
może słyszysz jego szept przez telefon, z Podlasia, ze Lwo-
wa. Sterowce nad Nowym Jorkiem. To ty tak majestaty-
cznie idziesz. Opowiadanie patrzące na dziewczynę idącą
ulicą. Ta delikatność dziewczyny w świecie terroryzmu.
Pojawia się nagle. Patrząc, jak znika. Jeszcze ten ruch
powolny bioder. Głowa pochylona jakby w onieśmiele-
niu. Opowiadanie mogłoby opowiedzieć państwu, dokąd
poszła ta dziewczyna, co mówi, jak się śmieje. Ale spr-
awy najważniejsze niech emanują aurą tajemniczy. Oto
miejscu, w którym zatrzymują się wszyscy ludzie. Chło-
pi orzący ziemię. I statki leżące na dnie. To poruszenie

Opowiadanie bez skreśleń WOJCIECH CZERNIAWSKI

biegłość, a może nawet w takie rzeczy jak korupcja, łapo-
wnictwo, przynajmniej oka na handlarzy wódką. I zapy-
tacie: po co. I zapytacie: dlaczego. Myślenie to kłeska.
Niektórzy ludzie przez tyle lat usilowali się wykazać, cho-
ciaż nikt ich do niczego nie zmuszał, to był ich własny
wybór. Ci, którzy wybrali trudniejszą drogę, nie potrze-
bują pochwał, życia na pokaz. Kierują się własnym su-
mieniem. Czują. Stoją twarzą w twarz z przestrzeniami
międzyplanetarnymi. Rozmawiają z ludźmi, którzy mówią
tak swobodnie, jakby coś się w nich otworzyło. I każde
dotknięcie, każdy pocałunek dziewczyny, kobiety, jest
przestrzenią międzyplanetarną. Ta skulona kobieta w dro-
dze do. To dziecko w drodze do. Czy widzieliście lśnienie

ramienia, zanim zniknie. Może to młode nauczycielki
biegną, przejęte, chodzi im o Ognisko Muzyczne, które-
mu naczelnik miasta wstrzymał dotację, gdyż ludzie cie-
mni, prymitywni, ograniczeni, nie mający nie wspólnie-
go z kulturą, uznali, że ważniejsze są pijalnie piwa. Sta-
ry nauczyciel poparł je, powiedział, że natychmiast zło-
ży interpelację. Czy słyszycie ten tupot nóg ludzi spra-
wiedliwych. Czy słyszycie ten chichot szaleńców. I tak
odchodzi to opowiadanie. Z twarzą dumną, jak twarz
tych dziewczyn. Gdzieś mignęła stara nauczycielka z po-
ranną twarzą. I ta, która pachniała jesinią, gdy miałaś
trzydzieści lat i zaczęła pisać opowiadania. I ta, której
papiery, gdy umarła, znalazł w składnicy makulatury.
Stary ludzie ze wsi. Po ilu ludziach pozostaną wstrząsa-
jące notatki. Przeważnie nie pozostaje żaden ślad po czło-
wieku. Ci wszyscy ludzie z nadzieją patrzą na twoje opo-
wiadan.

Mieczysław J. Warszawski

Miasto umiera

To miasto umiera nam na rękach.
Przesłania słońce, idee i twarz zamierchłej historii.
Rozpruta katedra głowę pochyla nad miasta konaniem.
Nieme oczy agonii.
Jakże teraz boli każda chwila, ta, co dogasa.
Miasto odchodzi jak stare cmentarzysko
Zamienione pod park miejski.
Przeprawia się rzeką Heraklita,
Tonąc wraz ze zagubionym konduktem cywilizacji.
Zegar nadal wskazuje godzinę buntu drzew
I pokorę łak podmiejskich.
Na których także wędna czyjeś rozkwitłe pierś.
A śródmieściem już kroczy
Zapomniana delegacja cieni nieobecnych.
Aby w alei zasłuzonych
Złożyć wianki sztucznych kwiatów
Pod kolumną własnego nekrologu.

Oto i godność miasta: nie skarży się, nie uraga.
Mówi: oto jestem
Jak katastroficzna poezja

marzec 1980

Podmiot

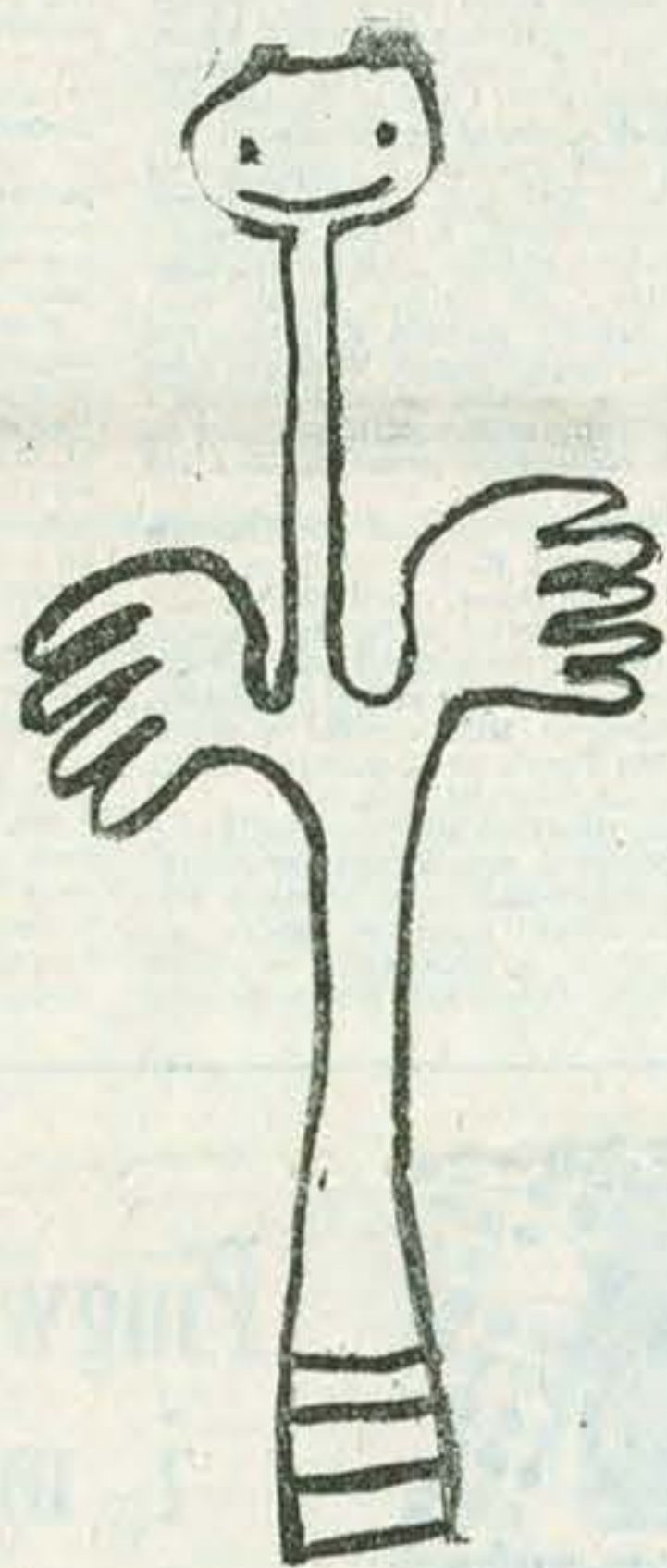
Popatrz, to człowiek a to zwierzę,
więc jeśli jedno drugiemu skooczy do gardła
albo do nóg przypadnie pokotem.
kim będzie człowiek a kim
to zwierzę już nazwane

13 czerwca 1982

Komentarz

Popatrz złocono coś uczynił
Człowieka powalił jak wółu
Jakby tenże był ofiarą ofiar
Które gładzą grzechy tego świata

grudzień 1983



Rys. ROMANA KASZCZYŃ

Pewien tekst

Pewien tekst nie ujrzał się
w świetle dziennym. I

to jest w porządku, ale
światło dzienne nie

przejrzało się w tekście. A
to już nie powinno przejeść

do porządku dziennego

16 marca 1984

Jaroslav Broneczek postanowił podczas tej pierwszej wizyty być wspaniałomyślnym, a może nie tyle wspaniałomyślny, co chciał w ten sposób zaintrygować dziewczynę: słyszał przecież, że im większą okazję się w stosunku do nich obojętność, tym stają się one potem łatwiejsze dzięki kobiecej ambicji na zasadzie: czy jest ktoś, kto mnie nie chce, to niech się przekaże. Jaroslav Broneczek, który w tym momencie przeżywał swój pierwszy wieloletni kryzys, w tym momencie przeżywał swój pierwszy wieloletni kryzys, w tym momencie przeżywał swój pierwszy wieloletni kryzys. Po każdym spotkaniu z inną kobietą nie szedł od razu do domu, do żony i dzieci, biegł na wodę do swojej knajpy, która funkcjonowała przy Biurze Projektów. Co jest, cholera, że jeszcze teraz, w wieku czterdziestu pięciu lat, ogląda się za co ładniejszą dziewczyną czy kobietą, a nawet przystaje i długo za nią patrzy; spostrzegł, że nawet przypadkowi przechodnie to uważali. To musi być jakiś cholerny kompleks i obsesja: to swego rodzaju zbroczenie. I teraz przyszła mu z pomocą druga jego połowa o nazwie Broneczek; zaczęła usprawiedliwiać, że i kłopoty oglądanie się na ulicy za pięknymi kobietami to dążność w nim do estetyzmu, do bezinteresownego przeżywania piękna. Kiedy o tym myślał idąc do knajpy przypominało mu się zdarzenie podczas studiów (był wtedy jeszcze dziecinny). Oto wysiadł z tramwaju za nieprzeciętnie

był na siebie wściekły, nienawidził siebie obrażając w myślach największymi obelgami, wyzywając od najgorszych miazgajów. Pozwolił mi w tym miejscu opowiedzieć ten przypadek. Gdzieś koło czterdziestki (już czterdziestki) po znał był Jaroslav Broneczek bardzo piękną, w miarę skromną, w miarę zalotną dziewczynę, z którą kilka razy spotkał się, z tego częściej pokoju sublokatorskim, który zajmowała ona. Mimo wszelkich wysiłków nie udało mu się jej przez kilka tygodni zdobyć, choć nie wzbraniała tradycyjnych pieszczot w postaci pocałunków, wprowadzie jednostronnych, tylko z jego udziałem, ale zawsze do pocałunków. Chyba gdzieś po trzech tygodniach dziewczyna powie działała mu, że jest w ciąży. Oczywiście Jaroslav Broneczek przeraził się straszliwie, zamurował go, bo przecież nie doszło między nimi do sytuacji, która spowodowałaby coś takiego. Na szczęście przerazenie jego trwało tylko kilka minut, bowiem dziewczyna, zgodnie z prawdą wyjaśniła, że owszem jest w ciąży, ale z kim innym, z kimś bardzo przypadkowym, była po prostu zbyt pijana. Jaroslav Broneczek uniesiony wspaniałomyślnością obiecał załatwić jej

ce odczuwał już lekki szmerek w głowie. Nie, nie da się wodzić na pokuszenie; wypije jeszcze dwa kieliszki i nie będzie się błażnić, na to sobie nie mógł pozwolić, nie powtórzy się to już nigdy. Pokonując opory, miał przecież wielką ochotę tu zostać, wstał i wyszedł. Był szczęśliwy, że zwyciężył samego siebie, a raczej swoją słabość, której źródłem erotyzm, lub może raczej kompleks na jego tle. Z każdym krokiem był coraz pogodniejszy; z bardzo dobrym samo poczuć wszedł do mieszkania emancypanki, wolnej młodej kobiety, intelektualistki o zacięciach artystycznych, która nazywała się Elżbieta Potęcka.

Tym razem Jaroslav Broneczek przyniósł bułkę koniaku. Pili powoli ale systematycznie, gospodyni domu wcale nie ustępowała gościlo-

wstrętu, jaki poczuł do samego siebie. (Nie odczuwałby wstrętu, jak tak, tylko gdyby kobiety te były eleganckie i butne, wyglądały one jednak na bidulenki, mizeroty, i to, że stoczyły się, były wykołone, w niczym nikogo nie mogło usprawiedliwiać). Opowiedział Jaroslav Broneczek tę historię, bo chciał być męski, stuprocentowo męski, a przede wszystkim twardy; było to jednak przeciw jego naturze. Kiedy skończył się koniak, już wyraźnie podpiity, zapytał czy Elżbieta ma coś jeszcze. Wyciągnęła, jak przystało na emancypankę i intelektualistkę, „Vistulę”; w rezultacie Jaroslav Broneczek urządził się jak nieboskie stworzenie, z ledwością zchał windą i odwrócił się do taksówki, która byla go nie zabierała, gdyby nie trafił akurat na znajomego taksówkarza.

Nie, to tylko pozór, że to koniec tych groteskowo-makabrycznych historii erotycznych Jaroslawa Broneczki. W jego dotychczasowym życiu między innymi miała miejsce jeszcze jedna. Właśnie ta z Elżbietą Potęcką, i to ostatnie zdarzenie przebrało miarę jego goryczy, obrzydliło mu kobiety i wszelki erotyzm, w jakiegokolwiek realizowany byłby on formie. (Acha, zapomnieliśmy powiedzieć, że po opowiedzeniu tej okropnej historii o swoim kierowniku z Biura Projektów Broneczek był skonsternowany i zdziwiony, jak rzadko w życiu; Elżbieta wysłuchawszy nie była wcale zbulwersowana, nie zrobiła mu najmniejszej wymówki, że opowiadał swinstwa, historie niegodne normalnego człowieka. Powiedziała tylko: „Głupie baby, więc niech mają za swoje!” A przecież w tej historii nie one były najważniejsze, a jego kolega kierownik z Biura. Czegoś tu prostoduszność natura Jaroslawa Broneczki nie mogła pojąć. Jak można nie mieć żadnego poczucia solidarności z własną plecią, pomyślał trwając nadal w niebotycznym zdziwieniu nasz bohater).

Wróćmy jednak do opowiedzenia najnowszej sytuacji, jaką zapowiedzieliśmy, opowiemy ją w kilku zdaniach.

Jaroslav Broneczek zdobył upragniony swój cel, Elżbietę Potęcką. W miłosnych pieszczotach była doskonała, perwersyjna, do tego stopnia, iż nigdy dotąd nie takiego go nie spotkało. W jej repertuarze była miłość i francuska i inna, dla której nie mógł znaleźć ogródkowego i delikatnego sformułowania. Jaroslav Broneczek był w siódmym niebie, ponieważ tę formę przeżycia erotycznego uznał jako objaw wielkiej miłości, objaw uwielbienia jego osoby przez partnerkę, w tym wypadku konkretnie przez Elżbietę Potęcką, o której wiedział, że nie zadaje się z byle kim. I był to jeden z nielicznych przypadków, kiedy wiedział, że nie rzuciłby jej — co często robił po zdobyciu kobiety dogadzając swojej próżności. Tym razem stało się coś nieprzewidzianego. Zadzwoił na drugi dzień, aby umówić się ponownie z Elżbietą, ona jednak powiedziała mu grzecznie ale stanowczo, że absolutnie nie ma czasu. Nalegał, prosił, że może być nawet za tydzień, wtedy usłyszał w odpowiedzi: będzie bardzo zajęta przez najbliższe miesiące i nie ma mowy o spotkaniu. Jaroslav Broneczek nie wierzył własnym uszom; i to mówi dziewczyna, która objawiła do niego w łóżku coś, na co nie stać było żadną inną w całym jego dotychczasowym życiu. Natychmiast poszedł na wodkę do swojej knajpy, Elżbieta była już tam w towarzystwie jakichś obcych mu mężczyzn; dopadł ją przed toaletą, ale ona poprosiła, aby dał jej spokój. Nie mógł zrozumieć jak może być teraz z innymi. Jeśli jeszcze przedwcześnie była mu tak oddana. Chciał ją zatrzymać, usiłował przekonywać, prosił, był zdecydowany nawet błagać. Elżbieta jednak zirytowała się i odpowiedziała mu opryskliwym tonem, aby dał jej raz na zawsze spokój. W pewnej chwili szepnął: przecież wcześniej byliśmy szczęśliwi, tak dobrze było im razem. Nie doczekawszy się z jej strony przychylności, prawie wykrzyknął w rozpacz: po jakiego wiece diabła była z nim aż tak wymyślna w pieszczotach; w teście sekundzie usłyszał syk: „Frajerze, czy miałam z tobą spokójkać normalnie, abyś zrobił mi bachora!” Jaroslav Broneczek odszedł zdruzgotany. Tego wieczoru uchlął się jak świnia, nawet nie pamiętał jak wrócił do domu.

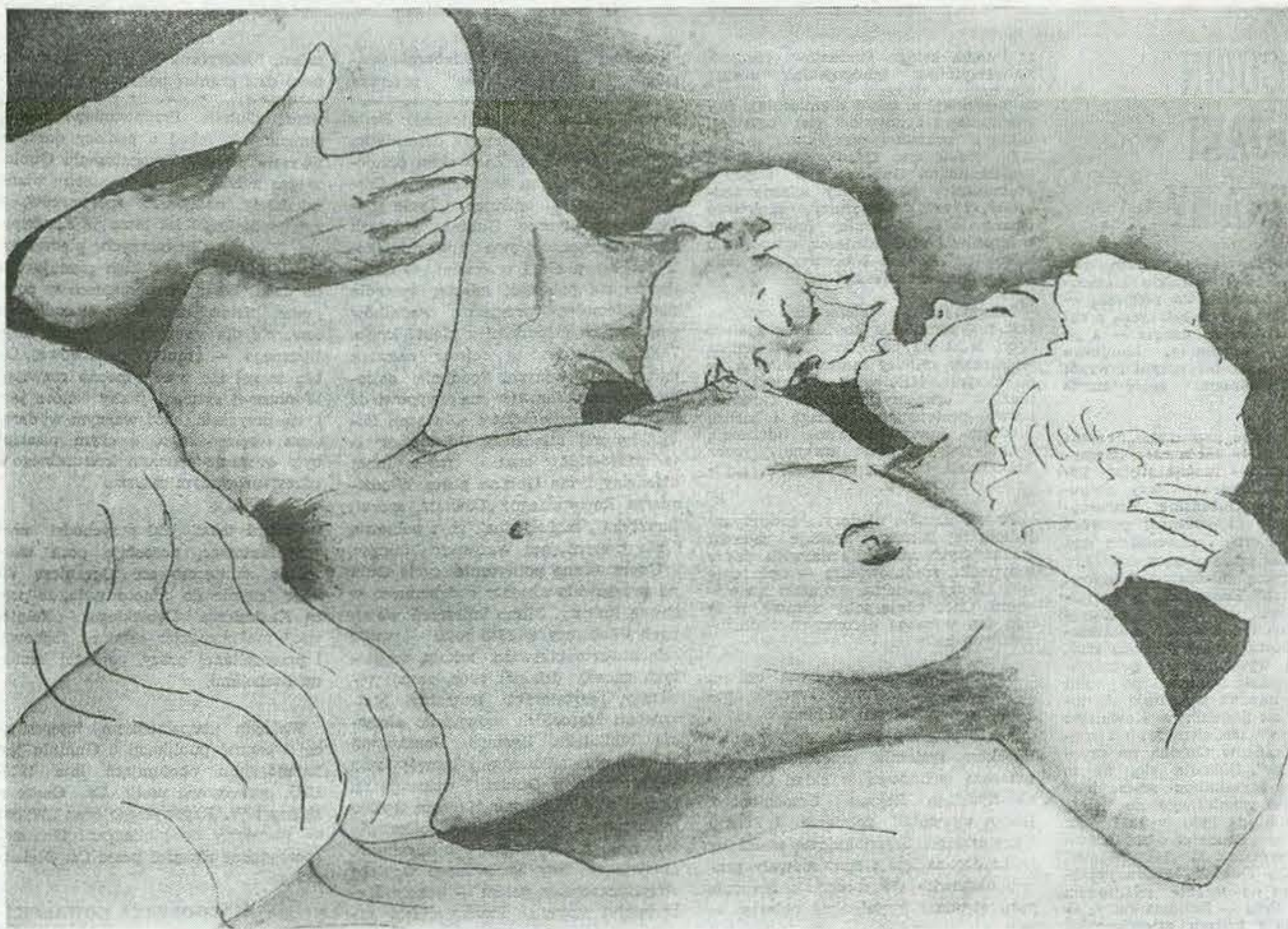
Wreszcie na zakończenie tych strasznych historii wziętych z życia erotycznego Jaroslawa Broneczki, należałoby powiedzieć, że odtąd przestał on w powodzeniu u kobiet, w ogóle w realizacji życia erotycznego, szukać potwierdzenia własnej wartości, ani ludzkiej, ani nawet męskiej. Niestety, nie mamy jednak żadnej wiedzy na temat, jak żyje i postępuje dalej nasz bohater, Jaroslav Broneczek. A przede wszystkim, czy nadal życie erotyczne jest w jego ziemskiej egzystencji tak samo ważne jak inne dziedziny; mamy jednak prawo domyślać się, że chyba nie było ono już dla naszego bohatera najważniejsze.

I jeszcze jedno na zakończenie, gwoli uniknięciu nieporozumień: opowiadając naszą historię nikomu nie chcieliśmy obrzydzić sfery erotycznej jego własnego życia. Od tego byliśmy jak najdalej. Jaki zatem przyświecał nam cel, że podjęliśmy się wcale łatwego zadania opowiedzenia bez wdzięków białych rękawiczek tych, dla wielu na pewno niesmacznych przypadków z życia erotycznego naszego bohatera. Mamy na swoje usprawiedliwienie dwa bardzo ważne argumenty. Po pierwsze, opowiedziana historia jest prawdziwa, we wszystkich swoich najdrobniejszych szczegółach, jak prawdziwym, z krwi i kości, jest Jaroslav Broneczek, człowiek o dwóch przeciwnych połówkach, który chciał obie zjednoczyć w nierozdzielalną całość. Po drugie, muscie Państwo przyznać nam rację, że jakże często powszechne i nagminne jest to, do czego prawie nigdy nie przyznajemy się otwarcie, a nawet przed samym sobą.

ZYCIE erotyczne Jaroslawa Broneczki

Czesław Kuriata

(2)



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

zgrabną dziewczyną, której w tramwaju nie śmiał spojrzeć w twarz (to znówu on, jako Broneczek, a nie Jaroslav) i szedł za nią utrzymując pewną stałą odległość, szedł za nią choć wie dział, że nie będzie miał odwagi jej zaczepić. (A jak taki przypadek nazwać, co jest jego źródłem?) W ten sposób przeszedł za kobietą przez całe miasto, ba, żeby tylko przez całe miasto, do tarł aż na dalekie przedmieście. Kobieta przed swoim domem nagle odwróciła się i prawie biegiem znalazła się przy nim. Zobaczył przed sobą jej twarz, starą i zniszczoną. „Jaki co, chłopczyku? Po co ci to było?” usłyszał od tej, za którą przeszedł tyle kilometrów. Na całe życie za pamiętał ten przypadek, nie go to jednak nie nauczyło, pozostał takim, jakim był. Ten przypadek ma pewną wymowę symboliczną: wiele kobiet, które spotykał wydawały mu się wspaniałe, cudowne, kiedy jednak poznał je bliżej, nie mógł się sobie nadziwić, dlaczego był tak ślepy na początku. Trzy dni temu Jaroslav Broneczek poszedł do swojej knajpy i popił porządną, oczywiście było tu znajome towarzystwo, sporo znajomych kobiet, więc po kolei je podrywał, jak zwykle (w pijackim widzie) wcale nie doprowadzając rzeczy do praktycznego finału, bo szybko był pijany. Tak się działo nawet wtedy, gdy wychodził z knajpy nie aż tak pijany, żeby wszystko było z góry wykluczone. Taki był nasz Jaroslav Broneczek, i kto nam wskazuje drogę podobnego, niech będzie pewien, że spotkał go szczęśliwy los: niewiele jest bowiem takich mężczyzn na świecie.

Jaroslav Broneczek zadzwonił w dwa dni później do Elżbiety Potęckiej, która i tym razem chętnie zaprosiła go do swego domu, jeszcze tego samego dnia wieczorem. Szedł więc Jaroslav z twardym postanowieniem, że albo dzisiaj albo nigdy, musi swego dokonać; w czasie tej drogi jego druga natura w postaci Broneczki nie miała do gadania, wręcz przeciwnie. O tym, że tak było naprawdę, może świadczyć fakt, że przypominał sobie jeden szlachetny, dżentelmeński uczynek, z powodu którego

wizytę w dobre znane mu ginekologu, o co go prosiła; zdziwił się tylko, dlaczego z nim nie chce, jeśli teraz akurat bezpiecznie. W odpowiedzi usłyszał coś o urazie, wstręcie i tak dalej. Oczywiście umówił dziewczynę z lekarzem. Przez kilka dni przed umówioną wizytą był wielokrotnie w jej objęciach, kiedy wciąż mu wzbraniała czego on chciał, przekonywał ją (przekonywał?), że niezależnie od tego czy będzie dla niego dobra czy nie, i tak przecież nie odwoła u swego przyjaciela lekarza tego, co zaistniało. Tak oto znówu wzięła w nim górę Broneczka wspaniałomyślność, która — bardzo na to liczył — zostanie doceniona i wynagrodzona. Przyjaciela lekarz dokonał gratisowo zabiegu, od tego jednak dnia dziewczyna nie zobaczyła na oczy, po prostu nie chciała go znać. Wiele razy przypominając sobie ten fakt — zdarzenie nie mógł darować, że chce być wspaniałomyślnym (bał się posądzenia o wykorzystywanie sytuacji, o szantaż), nie zażądał od dziewczyny słusznie należących się mu zapłaty. Do cholery, z fajtlapą Broneczkiem, wściekał się często na siebie! Przecież za wszystko się płaci, przecież one traktują go za zwykłego człowieka, zawsze przecież płacił się, wszystko jedno w jakiej formie, bardziej lub mniej wprost; prezenty, na przykład, dla ukochanej to też zapłata! Tak rozmyślając szedł do Elżbiety Potęckiej; w pewnej chwili zorientował się, że zboczył i znalazł się przed swoją knajpą. Wszedł więc, aby dla kurażu wypić dwie pięćdziesiątki. Było tu jeszcze pusto, siedziało już jednak kilka młodych siks, do których po piątku nieraz zalecał się, usiłował je podrywać, umawiać się. Cholerne siksy, pomyślał, najczęściej odpowiadały mu, że nie mają czasu. Taka odpowiedź była dla niego obraza, skonstatował, jak mógł to znosić. Przecież one odpowiadając, że nie mają czasu, jakby mówiły, że to, co robią, jest ważniejsze od jego pracy, że ich życie jest ważniejsze od jego. Postanowił, że odtąd będzie gardził tymi głupimi istotkami; przysięgł się jednak jednej z nich: to jakaś nowa; tak, zaczęła się podobać, zwłaszcza, że po wód-

wi. Przy koniaku Jaroslav Broneczek był o wiele swobodniejszy, powoli wszystkie jego kompleksy malały, aż rozplynęły się całkowicie. Powiedział Elżbiecie Potęckiej nawet śmiało, brzydliwą historię. A historię była następująca. Działło się to w samej stolicy na jakiejś naradzie przedstawicieli biur projektowych. Wieczorem Jaroslav Broneczek spotkał swego kolegę biurowego, kierownika jednej z pracowni, człowieka niezwykle statecznego, szanowanego po pracownik, wzorowego męża i ojca rodziny. Siedział on w jednej z restauracji z dwiema mizernie wyglądającymi i lichy ubranymi kobietami. Mrugnęli do siebie porozumiewawczo, kierownik nie zapraszał jednak Jaroslawa do stolika, więc ten siadł obok. Jaroslav Broneczek był już po kielichu i cierpiał nielicho, (oczywiście o cierpieniu swoim nie) że nie został zaproszony do stolika przez kolegę kierownika, zwłaszcza, że był on w towarzystwie dwóch kobiet, więc mściwie (już mściwie!) zaczął się przysłuchiwać ich rozmowie. Kobiety wciąż upierały się przy tysiącu złotych, kierownik wymieniał sumę osiemset. Jaroslav Broneczek w lot chwycił o co chodziło; był teraz zadowolony, że jego przełożony, tak szanowany przez wszystkich i mający dobrą opinię kierownik, zafajdka się dokumentnie. Na drugi dzień Broneczek zapytał swego koleżę kierownika: „Się ta historia skończyła, czy któraś ze strony ustąpiła. Jego kolega i kierownik odpowiedział krótko, że nie nie zapłacił. Na to Jaroslav Broneczek: to dlaczego targował się tak zażarcie i długo. Odpowiedź padła krótka: chciał, aby uwierzyły, że zapłaci. Opowiedział tę prawdziwą historię i poczuł się strasznie, obrzydliwie, już samo jej przytoczenie było niekiedy blaskie. Za raz wypił natychmiast dwa kieliszki jeden po drugim, jakby koniak mógł zetrzeć

NASZE XXX lecie

Warto jeszcze omawiać historie pisma przypomnieć opublikowany w nr 12 (131) w 1987 r. „Stenogram o reportażu” Krzysztofa Kąkolowskiego. Był to zapis jego wystąpienia na zorganizowanym w połowie 1987 r. w Kąkolewku nad Wisłą po raz pierwszy w kraju z inicjatywy SDP i ZG RSW „Prasa” seminarium poświęconym reportażowi. Kąkolowski omawiał m.in. dorobek twórcy grupy zielonogórskich reporterów: Ryszarda Rowińskiego, Henryki Doboszewskiej („Nadodrza”), Alicji Zatrzybowny, Tadeusza Jasińskiego, Henryka Ankiewicza („Gazeta Zielonogórska”). Odnosząc się do oryginalności, wyrażonej w relacjach z rodzinnym gruntem zielonogórskiego reportażu, Kąkolowski wyróżnił szczególnie twórczość Ryszarda Rowińskiego, którego cenił najwyżej „za rzadką umiejętność wyszukania tematów, umiejętność tworzenia nastroju”, a przede wszystkim „za odszukiwanie fabuły w życiu, odśladanie ich dramatyzmu prawie bezbłędnie, przedstawianie ich w taki sposób, że lektura jego tekstów jest fascynująca...”

Rowiński, podobnie jak cała omawia na grupa, potwierdził tę opinię, dalszymi dokonaniem twórczym, m.in. samodzielną książką reportażową liczącą nagrodami i wyróżnieniami. Według mnie, jest on jednym z najdłuższych funkcjonujących w Polsce, liczących się reporterów. Obecnie „ostrzy” swoje pióro w dalekiej Syberii, zaś do po każdej listy laurów, uzyskanych w ciągu trzydziestoletniej jego pracy w „Nadodrzu”, dołączył otrzymany niedawno z tej okazji Krzyż Kawalerski OOP.

We wspomnianym już wcześniej jubileuszowym (X-lecie) numerze „Nadodrza”, który ukazał się w październiku 1987 r. obok tekstów zgoda okolicznościowych, literackich, reportaży Rowińskiego, Zatrzybowny, Jasińskiego, Doboszewskiej, pomieszczono podsumowanie nie rezultatów pierwszej ankiety czytelników, opracowanej przy pomocy dr. Tadeusza Kupisa z Instytutu Dziennikarstwa UW, na temat społecznej percepcji pisma. Oto co pisał w niej czytelnik, ekonomista z wykształcenia: „przyjmując pewną generalizację sprawy — „Nadodrza” czytają głównie ludzie, w których serwisie prasowym znajdują się takie periodyki, jak „Polityka”, „Kultura”, „Życie Literackie”, a więc ogólnokrajowe pisma o szeroko pojmowanej, ogólnokulturowej tematyce. „Nadodrza” w tym zestawie stanowi nieodłączne uzupełnienie, dając możliwość konfrontacji złożonej polskiej rzeczywistości z naszą wojewódzką czy regionalną, pozwalając lepiej zrozumieć wszelkie zbieżności czy odrębności...”. Szczegółowe badanie ankiety pozwoliło stwierdzić wtedy, a ten stan rzeczy nie uległ w zasadzie, mimo ustawianych nacisków w kierunku komercjalizacji, większym zmianom do chwili obecnej, że czytelnicy „Nadodrza” to najogólniej — lubuska inteligencja ale nie tylko, bowiem od powiedzi na ankiety nadeszły m.in. także z Torunia, Koszalina, Olsztyna, Przemysła, Poznania, Wrocławia, Katowic, z Moskwy, Poczdamu, Zwickau (NRD), Taboru (CSRS), nauczyciele i działacze społeczno-kulturalni, ekonomiści i technicy, urzędnicy, młodzież szkół średnich, również ludzie w miastach i na wsi, którzy bez względu na charakter wykonywanej pracy i zajmowane stanowisko, interesują się współczesnym życiem regionu, jego przeszłością, niemieckim sąsiedztwem.

W oparciu o tak właśnie rozumiany adres czytelnicy redakcja gruntownie w ciągu minionego dziesięciolecia koncepcję pisma, o którym powiedziano, że jest to pismo społeczno-kulturalne o charakterze regionalnym, przy czym słowo region należy rozumieć szerzej, niż jego geograficzne i administracyjne granice.

Z ankiety wynikało również, że przy ważącej części nakładu „Nadodrza” rozchodzi się wioskach, (ten stan utrzymuje się do dzisiaj) zaś największą popularnością cieszyła się podejmowana przez pismo problematyka społeczna, a więc czerpiący inspiracje ze złożonej współczesności regionu reportaż i publicystyka, felieton i aktualny komentarz, tematyka historyczna, związana z bliższą i dalszą przeszłością regionu, niemieckim sąsiedztwem, literacka, recenzje, wiersze. Interesujące, że już wtedy zdecydowana większość uczestników ankiety opowiadała się za przekształceniem pisma w tygodnik. Ten postulat, zgłaszany później niejednokrotnie także przez zespół redakcyjny, mimo przychylnego stanowiska wojewódzkiej władzy partyjnych, z różnych powodów, ostatnio także ekonomicznych, nie został jednak zrealizowany do dzisiaj.

WIESŁAW NODZIŃSKI

OFICyna LTK

Działalność wydawnicza Lubuskiego Towarzystwa Kultury trwa nieprzerwanie od 1957 roku, kiedy ukazały się baśnie Kazimierza Malickiego i Zygmunta Rutkowskiego pt. „O krasnoludkach, Jagusi i siedmiu zaklętych rycerzach”.

Wszelkie próby utworzenia w Zielonej Górze państwowego czy spółdzielczego wydawnictwa kończyły się fiaskiem. W tej sytuacji LTK wzięło na siebie obowiązek ogłaszania drukiem książek autorów zamieszkałych na środkowym Nadodrzu. Dorobek edytorski LTK jest bogaty. Bywały lata, kiedy wydawnictwa LTK trafiały na Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie. Wiele pozycji znalazło się w bibliotekach zagranicznych. Obecny czas nie sprzyja rozwojowi ruchu wydawniczego, co związane jest z brakiem papieru, przeszarżałą bazą poligraficzną, a także spadkiem czytelnictwa. LTK jest w jeszcze gorszej sytuacji, gdyż jako organizacja społeczna nie ma zapewnionych przydziałów papieru, wydanie każdej pozycji wiąże się z uzyskaniem zezwolenia

Ministerstwa Kultury i Sztuki, które robi to niezbyt chętnie. Książki LTK-owskie nie są tanie, a to dlatego, że ukazują się w małych nakładach. Mogłyby być wydawane w nakładach większych, gdyby Towarzystwo dysponowało papierem.

W ostatnich czterech latach sumarycznie LTK wyszło 33 książki o różnej objętości: najcieńsza miała 16 stron, najgrubsza — 285. Najtańsza kosztowała 50 zł, najdroższa — 250. Prawie wszystkie pozycje były do nabycia w księgarniach obu lubuskich województw, niektóre przyjęła do sprzedaży Składnica Księgarska. Drukowane najczęściej w Zielonogórskich Zakładach Graficznych wydawnictwa LTK nie mają lakierowanych okładek, rzadko stać edytora na dołączenie obwoluty czy zdjęć kolorowych. Mimo to większość pozycji rozchodzi się szybko, choć są i takie, które miesiącami leżą w księgarniach. Ale dziś w księgarniach coraz łatwiej o każdą książkę. Można polemizować, czy wszystko, co wyszło z oficyny LTK,

powinno się ukazać, czy niektóre pozycje nie zostały wydane zbyt pochopnie? Jest to problem nie tylko LTK, choć w przypadku tej oficyny, działalność edytorska wymaga gruntowniej analizy.

W latach 1983—87, a więc poprzedzających obecny VIII Sejmik Kultury, do księgarń trafiło 114 600 egzemplarzy książek LTK-owskich. Największy nakład miały „Baśnie i legendy środkowego Nadodrza” — seria, która od wielu lat cieszy się znacznym uznaniem czytelników, szczególnie młodych. W nakładach po 500 egzemplarzy wychodziły debiuty poetyckie. Książki z serii „Zeszyty Lubuskie” miały nakłady po 1500 egzemplarzy. Znaczną część dorobku edytorskiego LTK stanowią prace z zakresu historii regionalnej. Jedne z nich, z księgarń natchnionych, inne jeździły po kilka miesięcy. Na przykład słownik „Południowe Pogranicze” jest już nie do zdobycia, zaś pewna ilość „Szkiców z dziejów miast środkowego Nadodrza” znajduje się jeszcze w księgarniach. Wydawnictwo dba o to, by ogłaszać prace, które będą uzupełniały podręczniki szkolne. Między innymi dla tego zainicjowało nową serię — „Skarbiec Lubuski”. Dotąd ukazały się 3 tomy, dalsze znajdują się w przygotowaniu, a ich autorami są historycy zielonogórscy, członkowie SAP lub ZLP. O najnowszych dziejach Nadodrza piszą autorzy, których wspomnienia i pamiętniki pomieszczono w tomach „Mój dom nad Odrą”. W 1983 roku wyszły pamiętniki działaczy organizacji młodzieżowych, a w przygotowaniu do druku znajdują się pamiętniki laureatów konkursu na wspomnienia zorganizowa-

nego w 40-lecie powrotu Ziemi Lubuskiej do Macierzy. Skoro mowa o literaturze pamiętnikarskiej, to warto odnotować dwie inne prace — Mieczysława Turskiego „Początki początków” i Edwarda Czernika „Przeskoczyłem siebie”. Pod koniec ubiegłego roku LTK wydało 4 zbiorki opowiadań autorów zielonogórskich. Cykl ten będzie kontynuowany. We wspomnianych latach edytor zielonogórski opublikował łącznie 190 arkuszy wydawniczych, czyli tyle, ile wydaje rocznie średniej wielkości polska oficyna profesjonalna. Stawia to LTK wśród najpracowniej wydawnictw społecznych. Warto jeszcze dodać, że działalność edytorska LTK nie jest ani deficytowa, ani też rentowna; co Towarzystwo zarobi na baśniach, natchnionych wydawnictwach poetyckich, Zresztą kierownictwu LTK nie chodzi o zyski, a o wypełnienie istniejącej luki.

Czy w Zielonej Górze może funkcjonować wydawnictwo profesjonalne? Wszystko wskazuje na to, że tak, bo i są autorzy, i czytelnicy głodni wiedzy o regionie, są wreszcie zakłady graficzne i redaktorzy z niezbędnymi doświadczeniami edytorskimi. Brakuje tylko de cyzji, a tę, jak wiadomo, podejmują odpowiednie władze, które, co tu dużo ukrywać, bez inspiracji z Zielonej Góry, niczego nie postanowią. Może więc VIII Sejmik Kultury zwrócić się do gospodarzy województwa z umotywowaną prośbą o utworzenie w Zielonej Górze przynajmniej filii którejś oficyny państwowej.

ALFRED SIATECKI

GUBIN JAKI ZNAMY

Małą książeczkę monograficzną poświęconą Gubini czytałam momentami ze wzruszeniem. Po pierwsze — z powodów rodzinnych powiązań z opisywanym miastem, po drugie — z poczucia dumy, wspólnoty, kolejnego określenia się w historycznym i współczesnym krajobrazie opisywanych miejsc.

Jak we wstępie napisano: „Prezentowany „Zeszyt” (22 numer „Zeszytów Lubuskich” — M.K.-M.) jest pionem sesji popularno-naukowej zorganizowanej przez Gubiński Towarzystwo Kultury w 40 rocznicę powrotu miasta do Macierzy i zwycięstwa nad faszystami oraz przypadającą w 1985 roku 750 rocznicę nadania Gubini praw miejskich” Zauważmy, iż 11 numer „Zeszytów...” również był poświęcony Gubini i powiatowi gubińskiemu, i obejmował dzieje do roku 1969. Tegoroczne wydawnictwo przedstawia współczesność miasta po roku 1945. Z tego kanonu wyłama się interesujący tekst Stanisława Kowalskiego „Struktura narodowościowa i społeczna mieszkańców Gubina na przestrzeni wieków”. Okazuje się, że to miasto, wielu czytelnikom znane jedynie z przebiegu granicznego do NRD, wzmiankowane już było w 1211 roku przez Henryka Brodatego, zaś prawa miejskie otrzymało 14 lat później. „W 1815 roku Gubin był największym miastem na terenie włączonym wówczas do Prus — Dolnych Łużyc — i liczył około 7 tysięcy mieszkańców. Do 1939 roku cyfra ta wzrosła prawie siedmiokrotnie”.

Ciekawie kształtowała się struktura narodowościowa. Kroniki, dokumen-

ty i m.in. księgi studentów różnych uniwersytetów europejskich notują obecność w Gubinie rodzimej ludności łужицьkiej, a także niemieckiej, flamandzkiej i żydowskiej (tej ostatniej także z prawami miejskimi, co w XIV wieku było rzadko spotykane). Mieszkańcami Gubina byli kupcy i rzemieślnicy posiadający własne warsztaty, i tzw. komornicy, częściowo uczniowie i czeladnicy praktykujący u kupców i rzemieślników, oraz duchowieństwo i Żydzi. Natomiast niewiele było w mieście szlachty.

Interesującym elementem tekstu jest przypomnienie konfliktów społecznych, jakie na początku XVII wieku wybuchły między mieszkańcami a radą miejską. XIX wiek przyniósł, również w uprzemysłowionym Gubinie, rozwój proletariatu, licznego i bardzo biednego, uprzywilejowanego burżuazji, oraz grupy reprezentowanej przez nauczycieli, lekarzy, adwokatów, urzędników i oficerów.

Pewne uczucie niedosytu towarzyszy jednak tej lekturze: brakuje rejestru ważniejszych zdarzeń i nazwisk, jak w przypadku średniowiecza — opisu dziejów między dwiema wojnami światowymi. Choć zdaje sobie sprawę, iż ten temat wymaga ogromnych i długotrwałych badań...

Kolejne prezentacje dotyczą czasów współczesnych. Zygmunt Traczyk opowiada o wyzwoleniu Gubina w 1945 roku. Miasto znajdowało się w niemieckim systemie umocnień i było twierdzą wchodzącą w skład Odrzańsko-Nyskiego Rejonu Umocnionego. Gubin wyzwalał żołnierze 1 Frontu Ukraińskiego. Sześciogodnie walki były bardzo ciężkie i spowodowały prawie całkowite (80 proc.) zniszczenie prawostronnej części, dziś polskiej — miasta. Silnie zaminowany Gubin był „niebezpieczny”. Szczególnie złą sławę miała „Góra Śmieci” zbierająca zżiwio nawet wśród saperów — jeszcze kilka lat po wojnie.

„Ogrom zniszczeń, niebezpieczeństwo min i niewypałów” przerażała członków kolejnych grup operacyjnych Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów. Dopiero trzecia dołnośląska grupa z Czesławem Zalewskim przejęła władzę cywilną w Gubinie. Czesław Osękowski opisując „Życie społeczno — polityczne Gubina w latach 1945-1948” szczegółowo analizuje kolejne poczynania i trudności w odradzaniu się polskości miasta, wysiedlania Niemców, przyjazd osadników wojskowych i ludności z głębi kraju. Tekst bogaty jest w rejestr nazwisk działaczy partyjnych. Podobnie dokumentacyjny charakter ma wypowiedź Wiesława Hładkiewicza: „Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej w latach 1976-1984” oraz — już z innej dziedziny życia Gubina praca Włodzimierza Rogowskiego: „Oświata, sport i turystyka”, może jednak zbyt pobieżna i nie prezentująca wszystkich faktów.

Unormowane politycznie życie Gubina przesuwano akcenty codzienności w stronę kultury. Mimo zniszczeń wojennych i sabotaży w 1945 roku — w mieście otwarto pierwsze szkoły, w których zaczęły działać: chór, zespół taneczny, recytatorski, teatralny. Małżeństwo Marcollich prowadziło pierwszą bibliotekę. Ryszard Pantkowski w artykule „Początki i rozwój życia kulturalnego w Gubinie” wskazuje na istotną rolę szkół, m.in. Liceum Ogólnokształcącego, inicjatora i ośrodka wieku działań, wydarzeń kulturalnych, omawia też losy Społecznego Ogniska Artystycznego, a potem — Szkoły Muzycznej I stopnia, którą miasto zawdzięcza nie żyjącemu dziś Leonardowi Kuryłowiczowi.

W drugiej ze swych wypowiedzi R. Pantkowski ukazuje współpracę dwóch

miast, historycznie — jednego, dzielonego dziś granicą państwową na Nysie Łużyckiej — Gubina i Wilhelm Pieck Stadt Guben. Przypomniane zostało porozumienie miast o pomocy doradziej w razie powodzi, zaopatrzeniu Gubina w gaz z NRD, o kontaktach władz, młodzieży, muzyków, sportowców, o zatrudnieniu 20 lat temu w Kombinacie Włókien Chemicznych pierwszych Polek (kilkanaście z nich pracuje tam do dziś). Ważnym momentem w powojennej historii obu miast okazało się otwarcie dla swobodnego ruchu turystycznego — granicy państwowej. Gubin zaczął się wtedy mocno rozwijać. W obecnej sytuacji jakby znów jego życie przygasło, choć ważnym wydarzeniem zeszłego roku, o czym pisałam, było otwarcie centrum kulturalnego w odrestaurowanym ratuszu.

Ostatni tekst, jaki przychodzi nam zaprezentować, pozostaje poza sferą moich zainteresowań. Ograniczę się więc jedynie do odnotowania, iż praca Kazimierza Dębickiego: „Rolnictwo” ma charakter solidnej, fachowej i przemyślanej pracy, popartej liczbami i tabelami.

Ważnym uzupełnieniem interesującej i cennej publikacji o Gubinie jest kalendarium obejmujące lata 1970-1985, opracowane przez Cz. Osękowskiego i W. Rogowskiego oraz „Wybrana materiały do bibliografii Gubina”, sporządzone również przez Cz. Osękowskiego.

MALGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA

„Zeszyty Lubuskie” nr 22. Wydawnictwo Lubuskiego Towarzystwa Kultury. Zielona Góra 1987, cena 150 zł.



CZARNECKIEGO OPowieści NIESAMOWITE

Z przyjemnością czytamy — sama i swojej córce — wydawnictwa Lubuskiego Towarzystwa Kultury, prezentujące baśnie i legendy regionu Nadodrza.

Omawiając wcześniejszą publikację, m.in. „Nie taki diabeł straszny” Izabelli Koniusz czy „Świat czarów” Heleny Rutkowskiej, wskazywałam na duże

znaczenie niewielkich książeczek. Pisaliśmy o silnym akcentowaniu przez nie polskości Ziemi Lubuskiej, o tym, iż w najmłodszym i nieco starszym czytelniku budują świadomość historyczną, najbardziej elementarne odczucia dialektyki i własnej obecności w toczących się dziejach. Nawet wtedy, gdy wokół realiów Zielonej Góry, Międzyrzecz, a Krosna przepływa rzeczywistość bajkowa, nieprawdziwa.

Podobny walor dydaktyczny i wychowawczy ma najnowsza publikacja omawianej serii — „Złoty Potok” Zenona Czarneckiego. Wszystkie te dziełne, nie realne zdarzenia odbywają się w dawnych czasach w najbliższych nam okolicach, np. w Nowej Soli, Sulęcinie. Autor z epickim zacięciem dokonuje ciekawego zabiegu — w czterech z pięciu opowiadań wprowadza współczesnego narratora i jego słuchaczy. Dopiero rozmowa, często przerywana wtrętami sytuacyjnymi, nie zawsze uzasadnionymi kompozycyjną, zmierza ku ostatecznemu poznaniu kolejnej baśni. Opowiadanie tytułowe, „Złoty Potok”, przekazuje dziełce Wawrzona wnukowi Michałowi podczas wspólnego łowienia ryb. Czarnecki dodatkowo stosuje moment motywowany: dziadek dlatego snuje swą gawędę o Złotym Potoku, iż właśnie nad tym jeziorem dwaj bohaterowie się znajdują, a dziecko zainteresowane miejscem, w którym przebywa,

Następna opowieść, „Zemsta boginek”, jest zainicjowana przez przewodnika relacją o pochodzeniu nazwy zwiedzanej Nowej Soli. W innym miejscu — wycieczka dzieci szkolnych na wzgórze, gdzie jeden na drugim stoją dwa ogromne kamienie, jest okazją, by nauczycielka opowiedziała historię pt. „Głaznik”. Z kolei „Świecik” to opowiadanie snute przez starą wiejską kobietę, Nialecką, w kręgu wiejskich dzieci pasących krowy. Jedynie ostatnia baśń, zatytułowana „Wilkołak”, nie ma sytuacji opowiadania. Sam autor jest narratorem i wywiązuje się ze swego zadania bardzo sprawnie.

Zenon Czarnecki swobodnie porusza się po świecie cudów i dziwów, ożywia najprzeróżniejsze straszdy i stworzy. Diabłom i wężom każe bronić skarbu, wojennego łupu żołnierza-rabusa; boginkom Odrę, tzw. mamunom, każe mścić się na mieszkańcach osady późniejszej nazwanej Nową Solą. Przywołuje postać zachłannego niemieckiego karczmarza, Sieberta (nie broni się Z. Czarnecki przed zarzutem swoistej tendencji), bogacza marzącego o zamku tak wielkim jak posiadłość sułceńskiego margrabiego Ottona, Chciwiec zatrudnia do pomocy przy budowie diabły i one to przynoszą ogromne glazy. Rzadkim motywem jest legenda o Świecku, demonie zła, „poteplonej na wieki duszy pszczeńskiego geometry, który przy parcelacji dworskich gruntów oszukiwał

tutejszy lud nad miarę...”, przepędzonego wreszcie z Góliny przez cygańskiego czarownika. Również niezbyt częsta jest w naszych baśniach wspólna nana wcześniej postać wilkołaka. Wilczyśko strzeże rozsypujących się murów zniszczonego kościoła we wsi Górzycza niedaleko Odrę. Ale po latach strasznie ludzi zostaje za radą znachorki spod Frankfurta zastrzelone. Rzecz odbywa się w noc świętego Mikołaja, przy użyciu święconych kul.

Zenon Czarnecki umiejętnie przechodzi od świata rzeczywistego do historii, baśni i horroru. Zbiorek z powodzeniem można by nazwać opowieściami niesamowitymi z Nadodrza. Zwłaszcza, że do kompanii autor dobrał sobie zna komitego rysownika, Stanisława Antosza, dobrze czującego się w satanistycznej atmosferze. Mogą podobać się rysunki ukazujące ruch postaci i sił natury, dynamiczne, a także — obrazki bardziej statyczne, widokowe niemal, ornamentowe.

Przynajmniej, całość sympatyczna, choć skromna poligraficznie.

MALGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA

Zenon Czarnecki, „Złoty Potok”. Wydawnictwo Lubuskiego Towarzystwa Kultury. Ilustracje: Stanisław Jan Antosz. Zielona Góra 1987, cena 150 zł.

Zalany słońcem Rynek Starego Miasta. Tłumy turystów. Pięćdziesiąt lat między narodowych rozmów. Rzecz zwykła o tej porze na warszawskiej ulicy. Duże grupy młodzieży. Uśmiechy. Spiewy przy wierzchołkach dźwięków. Na bramie jednej z przyczepionych wokół Rynku kamieniczek napis: Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza. A zaraz potem, już w środku: „Vasy Edziu, vasy”.

Ale nie szukaj tu odpowiedzi na pytania: „Czy autor „Pogodzie się ze światem” — sam zdołał na nie odpowiedzieć? Prawda. Szukał rozwiązań. Wszędzie, I przez cały czas. Tutaj — w Polsce, w Meksyku, w Ameryce, w Francji. Widać było to zbyt trudne. Aż przy szło rozwiązanie. Bolesne. I ostateczne. Niezliczone ilości fotografii. Stosy listów. Rękopisy. „Nie zna się na prawdziwym życiu, kto przez tunel samotności się nie przebiegał. Samotność najpierw jest tunelem do życia, potem jest całą bezgraniczną polaną życia” — pisał w „Fabula rasa” na pytanie: „Czym jest samotność. Po latach stwierdził: „Wszędzie byłem sam, czy musiałem? Sierota z wyobraźni”.

Urodził się w Pont-de-Cheruy we Francji. 18 sierpnia 1937 roku w rodzinie robotnika kolejowego. Matka — bez zawodu. Te najwcześniejsze lata zapamięta jako szczęśliwe. Jedyną chybą, którą tak właśnie zapamięta. A wojnę także fragment lat dziecięcych? Wojnę znał ze smaku czekolady, którą obdarowywały go wojska alianckie. Pożegnawszy siostrą Francję wraz z rodziną przy wędrował do „jeszcze słodszej” Polski. Szukał w niej miejsca. Dla siebie. „Sted” — przeczynam później nad jednym z ogromnych fotofosów na wystawie. Sted. Tak właśnie podpisywał swoje poezje i niepoezje, korespondencje.

Wśród wielu wielu listów przeważają te z prośbą o pomoc materialną. Nawet najmniejszą. Często rozpaczliwe. Jak choćby ten, który już bez odpowiedzi adresata, do Międzyzdrojów: „Mietek. To moje ostatnie S.O.S. do Ciebie. Jestem bez grosza. Nie mam ni stypendium, ni akademika. Wsadź to do jakiegoś pisma (mowa o świeżo stworzonych poezjach — przyp. D.A.). Wiem, że są to dobre rzeczy. Jeśli jednak uważasz moją prośbę za bezsensowną to możesz sobie tymi wierszami dupę wytrzeć. (...) Pozostaje zaś sześć pełen szacunku — Sted”.

Prośbom tego rodzaju nie było końca. Nie tylko w okresie studiów na KUL-u, potem w Uniwersytecie Warszawskim. Do dziekanatu Filologii Romskiej obu uczelni zwracał się również ojciec pisarza motywując prośbę tym, że jego syn, student Edward Stachura nie otrzymuje z domu żadnej pomocy pieniężnej, bo on — ojciec — takiej pomocy udzielić mu nie jest w stanie.

Podjął się różnych prac, często fizycznych. Pośród różnorodnych podań pisarza natknęłam się na takie:

W-woa, 29.8.1968

Do Komisji Rzeźnictwa Terenowych przy Związku Literatów Polskich w Warszawie

Podanie

Uprzejmie proszę o przyznanie mi rzeźnictwa terenowego. Chciałbym wyjechać do województwa zielonogórskiego, gdzie zimą 1966/67 pracowałem jako robotnik leśny na zbieraniu (wiosna) Grochowice, nadleśnictwo Sława Śląska). Ukończywszy pisanie powieści pt. „Cała jaskrawość” zamierzam napisać kolejną prozę, której akcja toczyłaby się wokół tamtych, „leśnych”, że tak powiem, spraw.

W związku z tym chciałbym sprawdzić i uzupełnić posiadane notatki, a

także zebrać dodatkowy materiał, a także przeprowadzić szereg rozmów z moimi byłymi towarzyszami pracy i tak dalej.

Uprzejmie proszę o pozytywne rozpatrzenie mojego podania.

Edward Stachura.

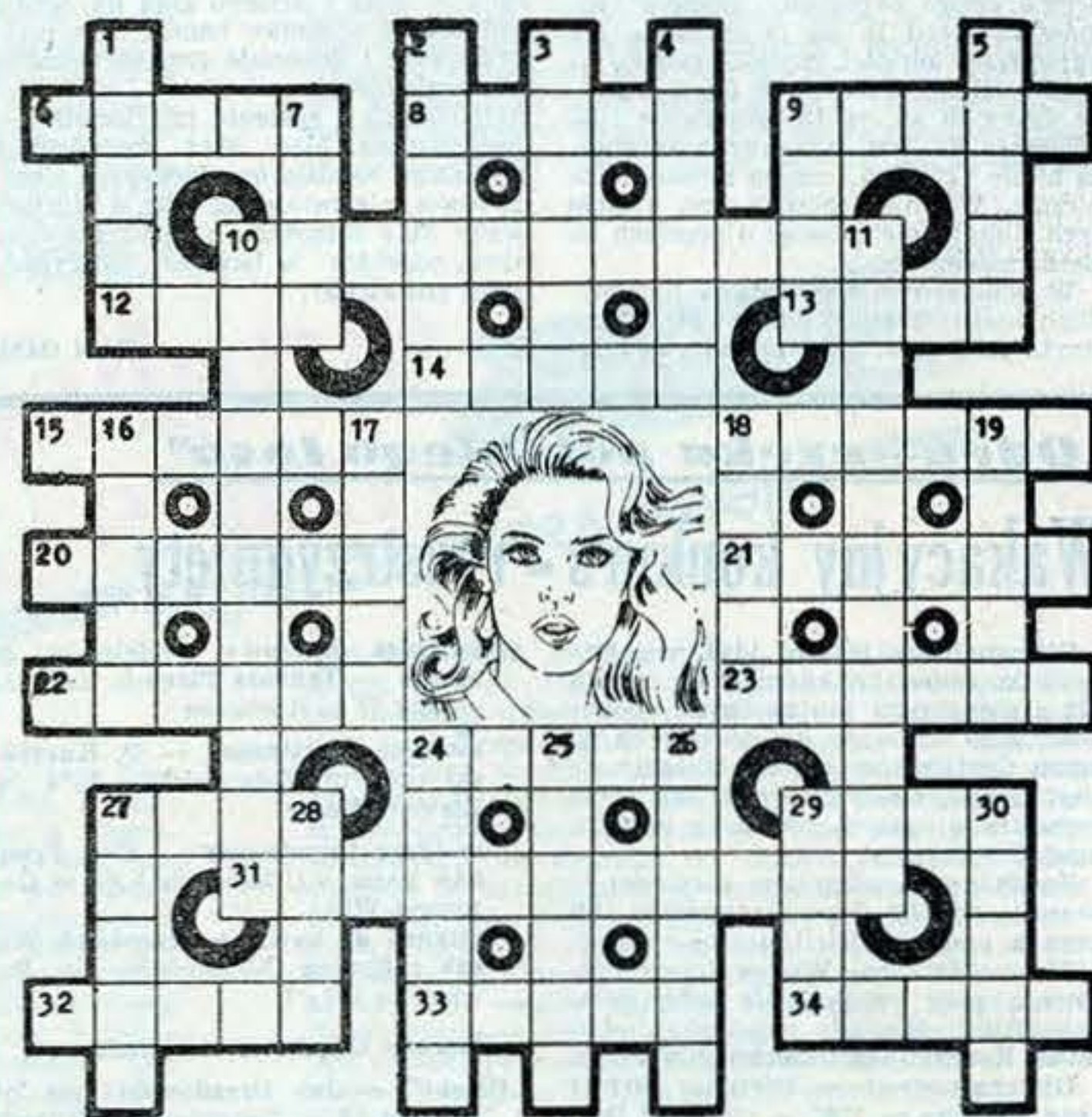
Tak więc pracował jako robotnik leśny. I chociaż rezultatem tamtejszej pracy była powieść w istocie zawiedząca go w zielonogórskie lasy potrzeba zarobienia na chleb. U Stachury każde, najdrobniejsze nawet, przeżycie znajdowało swój ślad w jego piśmiennictwie. Bo wszystko co robił jak żył, jak tworzył (choćby rozdzielanie tych dwóch ostatnich pojęć zdaje się nieco bezsensowne) osadzone było w dziejącym się rzeczywistości, dziejącym się życiu. Inaczej nie potrafił. „Prawdą można być, życiem można być, aż zycie i życie. To życie, to nieskończenie odkrywające się życie. Nieznane, nieskończenie siebie poznające” — pisał. Dziwnie mi dzisiaj myślić, że pewien zielonogórski prozaik na pisał kiedyś niefrasobliwie, jak to Edward Stachura zbierał w zielonogórskim materiale do książki.

Odszedł w 1979 roku. „Sie wie, że się spotkamy. U „konca” twojego czasu. Wszyscy się spotkamy u „konca” wszystkich czasów”. W rok potem, gdy go za brakło nastąpiła eksplozja polskiego Sierpnia. Piszę o tym, ponieważ nie mogę oprzeć się pytaniu: jakże by Sted znalazł się pośród tamtejszych wydarzeń? Jakże miejsce wyznaczyłby sobie? Ale o odpowiedź na to pytanie, jak i na wiele innych, jest za późno. Dużo za późno.

DZAMILA ANKIEWICZ

PS. Wystawa poświęcona pamięci życia i twórczości Edwarda Stachury w Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, czynna będzie do marca przyszłego roku.

Redaguje Zielonogórski Klub Szaradzystów



KRZYZOWKA
Opr. STANGAR

Poziomo: 6. Wynagrodzenie; 8. Jednostka wojskowa w Starożytnym Rzymie; 9. Miasto w Iraku; 10. Ewa Bem; 12. Obrońca A. Dreyfusa; 13. Część twarzy; 14. Pola... aktorka; 15. Okręt; 18. Odmiana piwa ciemnego; 20. Afisz; 21. Taniec paryski; 22. Imię żeńskie; 23. Tętent; 24. Podium; 27. Zwyrodnik; 29. Stolica Ghany; 31. Reklamować siebie; 32. Dorosły owad; 33. Przeciwnieństwo panteizmu; 34. Kamizelka ratownicza;

Pionowo: 1. Szloch; 2. Album filatelisty; 3. Przy literze q; 4. Kujbyszew; 5. Doświadczenie; 7. Solowy utwór; 9. Stolica Azerbejdżanu; 10. Ustrój, w którym władza należy do bogaczy; 11. Kosmonautka; 16. Kibic; 17. Miasto nad Zatoką Fińską; 18. Potraw; 19. Muza poezji miłosnej; 24. Spodnie tenisowe; 25. Smutny utwór liryczny; 26. Pewność siebie, tupet; 27. Przed występem; 28. Fiat 125-p; 29. Rodzaj szalu; 30. Odtwarza rolę.

„WINOBRANIOWE GODY” —

— to hasło stanowiące rozwiązanie krzyżówki z nr 18. Nagrody w postaci bonów PKO po 500 zł, ufundowane przez Komitet Organizacyjny Dni Zielonej Góry wylosowali: Alicja Baranowska, ul. Ptasia 53/18, Zielona Góra • Tadeusz Kalita, ul. Pomorska 2 b/2, Myślibórz • Andrzej Konik, ul. Zakątek 8/3, Kraków • Marek Kisiel, Sycowice 51 k. Radnicy • Tadeusz Czych, ul. Kazimierza Wielkiego 13/14, Zielona Góra • Emilia Sobczak, ul. Słowacka 9/3, Zielona Góra. Gratulujemy! Nagrody wysłane będą pocztą.

Za bezbłędne rozwiązanie krzyżówki rozlosujemy nagrodę książkową wartości ok. 900 zł. Rozwiązanie prosimy nadsyłać w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru; na kopercie należy nakleić zamieszczony obok kupon.



Podszepty szatana

Dawno już udowodniono, że szatan jest w nas i wokół nas. Józef Tischner i ateista Hamilton dostatecznie wiele powiedzieli w tej materii. Resztę potwierdza samo życie.

I. Pewnego letniego dnia rozpoczęto odgradzanie lokalnej kotłowni, dającej zimą ciepło do mieszkań jednego z zielonogórskich osiedli. Przywieziono betonowe krawężniki, o takiej grubości, że mogłyby być użyte do budowy schronów przeciwlodowych podczas ostatniej wojny. Następnie trzeba było ustawić w specjalnych wykopach. Do pracy przystąpili fachowcy z nieznaną nam z nazwy nowosolskiej spółdzielni. Jeden z nich natrafił na niespodziewaną przeszkodę. Była nią wystająca z ziemi i mocno napięta stalowa lina, biegnąca gdzieś w górę. Pracownik chwilę skonsternowany podumał, po czym niepopatrzył w niebo, ostro ciął kilka razy masywnym toporkiem. Lina wreszcie puściła. Z rumorem zwały się dwa kominy, z których zimą unoszące się smutki dymu powracającym z pracy mieszkańcom osiedla zwiastowały ciepło w domach. Kominy spadły na pusty plac i legły obok siebie spokojnie. Na całe szczęście, dobrośliwi Bóg ustrzegł przed wypadkiem, kalectwem lub nawet śmiercią krzątających się wokół robotników. Sprawca tego całego zamieszania, podnosząc do ciosu ów topór, nie spojrzał w niebo, skąd Bóg ślał mu ostrzegawcze sygnały. Uległ podszeptom

szatana, co jest niewątpliwe. A szatan z uciechy pomełdał ogonem.

II: W biedniutkiej gminie Maszewo i równie biednej gminie Bytnica innym szatanom ulegli nawet ludzie w czarnych sutannach. W Bytnicy, której mieszkańcy żywią się na ogół żywnością importowaną z miast, co może potwierdzić stała tam bywalec redaktor Ryszard Rowiński, proboszcz parafii pod wezwaniem świętych Piotra i Pawła, ksiądz Henryk Giesik, jak poinformowali nas wierni z rady parafialnej, ogłosił pewnego letniego dnia z amboną, że każdy mieszkaniec gminy ma obowiązek wpłacić na remont kościoła po pięć tysięcy złotych. To zarządzenie, oczywiście, nie dotyczy gości, w tym także redaktora Ryszarda Rowińskiego. Jeśli — ostrzegł proboszcz — ktoś nie uiszcza stosownej opłaty, to duszpasterz nie ochrzci jego dzieci a potem nie udzieli pierwszej komunii. Ponadto — jeśli ten ktoś, skąpy bardziej od wszystkich Szkotów razem wziętych oraz redaktorów Wiesława Nożyńskiego i Zbigniewa Ryndaka, zechce uzyskać służb kościelny, to niech na taką przysługę nie liczy. A jeżeli ta czarna skąpa owieczka zapragnie opuścić zagrzebany ziemski padół, to niech również nie liczy na swego proboszcza — on bowiem kondukt pogrzebowego do kościoła nie wpuści.

Po wygłoszeniu mniej więcej takich słów, ksiądz zszedł z ambony a wśród wiernych zapanowała długa, wcale nie modlitewna cisza. Zaś szatan czym prędzej

przeniósł się do Maszewa, gdzie korzystając z siebie tylko znanych sobie sobow, nakłonił miejscowego proboszczą do wygłoszenia podobnie brzmiących słów.

III. Powróćmy jednak do wspomnianej na początku zielonogórskiej dzielnicy, która poza słynną już kotłownią ma jeszcze końcówki bądź początki przy stankach autobusów, w zależności od której strony wymierza się wektory jazdy i trasę „7”. Otóż, po niedawnym swym wybruku przy kotłowni, szatan postanowił usprawnić miejską komunikację. Tuż pod „Szezanem”, obficie zaopatrzonym we wszelkie dobra, w które zaopatruje się nawet redaktor Halina Aniska, po zlikwidowaniu pobliskiego sklepu spożywczego przy ul. Westerplatte, stoi od lat skromny baraczek, służący naszej miejskiej niezawodnej kochanej komunikacji, a ściślej biorąc — jej kierowcom. W jakim celu, nie bardzo wiadomo. Ale jest to w gruncie rzeczy sprawa drugorzędna. Bowiem inny obiekt, ustawiony porą letnią obok tego baraczka, bez uroczystego przecięcia wstęgi przez p. Prezydenta miasta, wzbudził uzasadnione zainteresowanie mieszkańców osiedla. Ten obiekt, to po prostu słup wkopany w ziemię, z doprowadzoną siecią elektryczną i uzbrojony w światła sygnalizacyjne. W zamierzeniu kogoś, komu diabeł — conie ulega wątpliwości — podszeptał ten po myśl, światło zielone miało sygnalizować czas odjazdu autobusu, zaś czerwone — planowany postój. Tymczasem jednak chyba sam Lucyfer albo jakiś inny Boruta tak wszystko pomieszał, że przy zielonym świetle autobusy spokojnie drzemają, natomiast przy czerwonym wszystkie w stadnej zgodzie rwą się do jazdy. Teraz oba światła nie nie sygnalizują, bowiem najczęściej nie zapala się żadne. Autobusy zaś jedzą jak się podoba ich kierowcom, przez co niżej podpisany musi o godzinie wcześniej wstawać, aby zdążyć na kolejną narażę w Zielonogórskim Wydawnictwie Prasowym w sprawie atestacji stanowisk.

Szatan zrobił swoje i powędrował dalej. IV. Redaktor Ryszard Rowiński z „Nadodrza” o wielu lat, wspomaganą przez ludzi dobrej woli, dzielnie walczy o przekształcenie pisma w tygodnik. Podobno, jak twierdzą eksperci od demonologii, jest to wynikiem intensywnych podszeptów szatana. Niektórzy nawet sugerują, że występuje on pod postacią redaktora Franciszka Jrodzika.

Niestety, po wieloletnich zmaganiach o słuszną sprawę, redaktor Ryszard Rowiński, człek konsekwentny i zdyscyplinowany, nagle zrezygnował i wyjechał na dłuższy pobyt do Nowosybirsk, a diabeł pomachał mu przyjaźnie ogonem. O przekształceniu „Nadodrza” w tygodnik przestano dyskutować już nawet w piekle...

ZENON LUKASZEWICZ



Franciszek Brodzik — dziennikarz „Gazety Lubuskiej”